Nr. 5. Warszawa, dnia 3 Lutego (22 Stycznia) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BISMARK W BERLINIE.

„Moment historyczny“ odbył się bardzo uroczyście. Wzruszony listem cesarskim przybył Bismark d. 26 b. m. do stolicy, gdzie go na dworcu powitał książę Henryk i odwiózł wśród orszaku kirasyerów do pałacu monarszego. Po drodze pozdrawiały go tłumy ludu okrzykami a miasto przystroiło się we flagi. Wilhelm II-gi powitał gościa w przedsionku bardzo czule i odprowadził go do pokojów na dole. Zaraz zjadł Bismark śniadanie tylko w towarzystwie pary cesarskiej, poczem miał dłuższą rozmowę z cesarzem. Co było jej przedmiotem — naturalnie nie wiadomo. Opinia publiczna nie może się oswoić z myślą, ażeby ta wizyta miała powód wyłącznie uczuciowy. Rząd niemiecki znajduje się obecnie w bardzo przykrem położeniu: zmuszony wynaleźć środki na utrzymanie nowych korpusów wojska oraz zawrzeć traktaty handlowe z kilkoma państwami a zwłaszcza z Rosyą, napotyka opór nietylko w parlamencie, ale nawet w Radzie związkowej, która dotąd bezwzględnie uległa Prusom. Przypominamy opozycyę konserwatystów i wystąpienia ministra wirtemberskiego Mitnachta przeciw podatkowi od wina. I Bismark ścierał się z takiemi przeciwieństwami, ale musiał je łamać lub przekonywać. Nie umie i nie może tego uczynić Caprivi, który nie posiada ani powagi, ani uroku, ani zuchwałości swego poprzednika. Sądzono więc zapewne, że Bismark, zaproszony do Berlina i przyjęty z całą możliwą pompą, użyczy rządowi swej pomocy dla przeprowadzenia zamierzonych reform. Z drugiej strony kto wie, czy znowu on nie myślał, że nieraz uznano niemożność rządzenia bez niego, że chcą mu powierzyć stan łodzi, niesionej przez fale ku skałom. Wszakże od chwili ustąpienia nie przestawał twierdzić i wykazywać publicznie, że ci, którzy go wyznają, że psują dzieło jego długoletniej pracy i starań, że prędzej, czy później muszą odwołać się do rąk zręczniejszych i doświadczeńszych—naturalnie jego. Więc może już nadeszła pora uznania słuszności jego karceń i przepowiedni? Trzeba pojechać i zbadać grunt. Jeżeli obie strony żywiły takie nadzieje, to widocznie obie się zawiodły. Inaczej Bismark, przyjmowany serdecznie i wystawnie, nie odjechałby tak prędko. Prawdopodobnie więc przekonał się, że dumny tytan nawet za grzeczny list i butelkę wina nie chce być narzędziem cudzych celów i działań; ten zaś zobaczył, że postanowiono dalej żeglować bez niego. Jeśli wszakże zawód był zobopólny, to niejednakowy a przy rozstaniu się Bismark miał większe prawo do zadowolenia. Cesarz bowiem pierwszy wyciągnął do niego dłoń do zgody, a więc wyraźnie uznał tę jego potęgę, którą obiecywał „zmiażdżyć“, gdy mu na drodze stanie, powtóre cała podróż ex-kanclerza była wielkim tryumfem. Tak ani naród, ani dwór nie przyjmuje ludzi zwykłych, chociażby nawet bardzo zasłużonych. Ten uśmiech zwiększonej dumy przebija wyraźnie z oświadczenia dzienników, odbijających echa nastroju we Friedrichsruh.

Chociaż tego rodzaju wypadki mogą być bardzo ciekawe i dla swego czasu znamienne, nie stanowią one przecież „momentów historycznych“, do których prasa niemiecka zalicza bytność Bismarka w Berlinie. Bo skoro tylko on nie wystąpi na widownię, skoro wszystko pójdzie dalej torem „nowego kursu“, to co właściwie ma zapisać historya? Chyba zaznaczy jedną więcej dekoracyę swojego teatru. Tylko czynny udział b. kanclerza w robotach politycznych mógłby nadać jego pojednaniu się z cesarzem znaczenie istotnie doniosłe. Dla uczuć społeczeństwa niemieckiego zgoda wielkiego ich bohatera, stojącego nad grobem, z monarchą, który go usunął, ma zapewne wagę, ale dla reszty świata nie posiada żadnej. Pamiętajmy przytem, że ten bohater jest zgrzybiałym starcem. Naoczni świadkowie twierdzą, że mimo chwilowego ożywienia, zdradzał on ogromny ubytek sił, niemożność poruszania się bez oparcia itd. Gdyby nawet w marzeniach wyobrażał sobie, że zdolny jest odegrać jeszcze jakąś rolę, są to tylko sny starości.

Jak słychać, cesarz zamierza odwiedzić go we Friedrichsruh, gdzie są już czynione wielkie ku temu przygotowania. Dekoracyjna więc strona życia „żelaznego księcia“ rozwinie się jeszcze dalej, ale — jak rzekliśmy — ani polityce, ani historyi nie dostarczy już ona nowego materyału. Z tego źródła spływać już będzie tylko potok nowin dziennikarskich, chciwie łapanych i chętnie czytanych, tem chciwiej i tem chętniej, im sprawy europejskie mniej będą zaprzątać uwagę ogółu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Hamburg. Nachrichten, telefon Bismarka, usiłują swemu panu nadać zawsze urok potęgi czynnej, a sobie ton organów urzędowych. Więc po wizycie księcia w Berlinie ostrzegają zbyt pochopną do uniesień prasę, ażeby wypadkowi temu nie przypisywała przedwcześnie wpływu na bieg polityki. Jeszcze nie czas — czytamy między wierszami tej przestrogi— a chochlik nam szepcze, że *Hamb. Nachr.* wierzą widocznie w nieśmiertelność fizyczną swego bohatera, skoro tak sobie lekceważą dziewiąty krzyżyk jego wieku.

Po bytności Bismarka zaczął się kręcić w Berlinie kilkakrotnie wymieniany jako kandydat na kanclerza, hr. Waldersee. Wraz z nim pojawił się gen. Leszczynsky, który miał posłuchanie u cesarza i podobno jest przeznaczony na następcę Walderseego w dowództwie korpusu. Gazety wnoszą z tych faktów, że na wyższych stanowiskach zajdą jakieś zmiany.

W sejmie niemieckim rozpoczęło się czytanie projektu reformy podatkowej, opracowanej przez Miquela. Zaraz na wstępie konserwatyści i ultramontanie oświadczyli, że temu mozolnie wysiadywanemu pisklęciu jeść nie dadzą i że p. Miquel musi znieść inne jajko. Ponieważ zaś rząd jednocześnie oznajmił, że tak zwanego „daru miłosnego“ dla gorzelników nie cofnie oraz że ogłoszeń i piwa opodatkować nie można, więc chyba skarb państwa podstawi swe naczynia pod wytrysk w Pile. Ale z drugiej strony czyż konserwatyści za pozostawienie im „daru miłosnego“ nie odpłacą mu się swymi głosami?

W czasie jednej ze swych wycieczek nieopatrzny kedyw wyrwał się z jakąś naganą dla wojska angielskiego. Pochwyciły ją natychmiast pisma londyńskie i zaczęły domagać się zadośćuczynienia. Jakoż kedyw został skazany przez rząd swej opiekunki: na ogłoszenie pochwały dla wojska angielskiego i usunięcie towarzysza ministra wojny. Abbas jest jeszcze młody, ale już dojrzałości tyle mieć powinien, ile potrzeba na to, ażeby raczej utrzymać język za zębami, niż pozwalać sobie na swobodę, po której niechybnie następuje gruba kompromitacya. Przecież dla jego powagi w kraju byłoby korzystniejszem, gdyby był wyrzekł się owej krytyki, niż po niej ogłaszał chwalbę.

Wszelkie układy między królem serbskim a radykałami zostały zerwane i wojna wypowiedziana. „Obojętny“ gabinet nie ma naturalnie żadnego poparcia w skupczynie tak dalece, że ona nawet nie chciała wysłuchać jego deklaracyi. Starcie chwilowo zażegnane wybuchnie z całą siłą, gdy nowi ministrowie będą musieli zetknąć się z parlamentem.

Najcharakterystyczniejszym momentem tej tragedyi i rysem głównego jej działacza była wiadomość, że Milan żąda, ażeby mu przyznano nową dotacyę.

BADANIA NAUKOWE.

BUDOWA UKŁADU NERWOWEGO

W ŚWIETLE NOWSZYCH BADAŃ.

Komórki nerwowe i włókna są to zasadnicze składniki naszego systemu nerwowego. Ośrodki nerwowe zawierają komórki i włókna, nerwy zaś, wychodzące z ośrodków i biegnące bądź do narządów zmysłowych (czuciowe), bądź do mięśni (ruchowe), przedstawiają pęczki nader licznych włókien, otoczonych wspólną osłoną, lecz zresztą zachowujących funkcyonalną samodzielność, podobnie jak oddzielne druty w grubej telegraficznej linii podmorskiej.

Zrozumieć złożone czynności układu nerwowego można tylko wtedy, gdy zna się dokładnie materyalne ich podścielisko, gdy pojmuje się skomplikowany ich mechanizm. Łatwo więc ocenić ogromną doniosłość badań nad drobnowidzową budową układu nerwowego, stanowiących pierwszy warunek umiejętnej neurofizyologii i psychofizyologii.

Ale oto dzięki niezwykłemu postępowi techniki i metodyki poszukiwań mikroskopowych, dotychczasowe nasze poglądy na zasadnicze punkty układu nerwowego uległy w ostatnich kilku latach zupełnemu przeobrażeniu. Z tymi nowymi, niezmiernie ważnymi poglądami zapoznać pragnę czytelników *Prawdy.*

Otóż dotychczas wyobrażano sobie w następujący sposób budowę aparatu nerwowego. Dla uproszczenia sprawy zobaczmy, jak pojmowano mechanizm czuciowo-ruchowy w mleczu pacierzowym, tj. mechanizm odruchów czyli refleksów, owych najprostszych czynności nerwowych, będących punktem wyjścia dla innych, bardziej złożonych. Wiadomo każdemu, chociażby w grubych tylko zarysach obeznanemu z anatomią układu nerwowego, iż nerwy, wychodzące z mlecza pacierzowego, poczynają się dwoma korzonkami: przednim i tylnym; na tylnym znajduje się zgrubienie zwojowe, którego brak na przednim. Oba korzonki łączą się w jeden nerw; ponieważ zaś przez każdy z nich wychodzi pewna ilość włókien nerwowych, przeto ilość tych ostatnich w samym nerwie równa się sumie włókien, jakie wychodzą z obu łączących się z sobą korzonków. Przedni korzonek każdego nerwu mleczowego zowie się ruchowym, tylny zaś czuciowym, ponieważ włókna przedniego przewodzą pobudzenia ruchowe w kierunku od środka do obwodu, tylny zaś zawiera włókna czuciowe, t. j. prowadzące w kierunku od obwodu do ośrodka. Że tak jest, dowodzą doświadczenia, bo gdy przecinamy np. przednie korzonki nerwów przedniej, prawej kończyny u królika lub t. p., wówczas zwierzę traci władzę, tj. zdolność ruchu w tej kończynie, zachowuje jednak czucie; gdy natomiast przecinamy korzonki tylne, zwierzę traci zdolność czucia, ale może kończyną dowolnie poruszać. Jest to zresztą zjawisko od bardzo już dawna znane fizyologom (prawo Bella). Jeśli nagle ukłujemy zwierzę w kończynę, wykona ono nią ruch szybki, czyli odpowie na bodziec refleksem, odruchem. Bodziec czuciowy przenosi się po włóknach czuciowych danego nerwu ku ośrodkowi, włóknami tylnego korzonka wstępuje do ośrodka, tam przenosi się za pośrednictwem komórek nerwowych na włókna ruchowe, wychodzące z mlecza korzonkiem przednim i jako bodziec ruchowy biegnie po odpowiednich włóknach nerwu do danych mięśni, które wykonywają skurcz pod wpływem tego bodźca. Oto czynność odruchowa. Ale zachodzi teraz pytanie, jakiego rodzaju mechanizm znajduje się w ośrodku (w mleczu), umożliwiający przeniesienie się pobudzdnia czuciowego na włókna ruchowe?

---

2)

ODPOWIEDŹ.

przez

LASSOTĘ.

Myśl urywa się, płacze, krąży strwożona, a przed oczyma przesuwa się zwolna twarz młoda przygasła, przesuwa się i patrzy beznadziejnie, jak wczoraj.

Prosto w serce uderza go ta niema skarga. Bezwiednie wyciąga rękę i tkliwą pieszczotą pragnie dotknąć jej głowy. Widmo znika i pozostawia mu serce pełne tęsknej czułości.

Nie chce myśleć dalej i nie może, właśnie dla tego, że dalej rozpoczyna się najpiękniejsza karta jego życia. W dzisiejszym nastroju nie tknie jej... w ciszy, w ciemności niech spopieleje. Nie trzeba teraz przeciągać strun. I teraz i nigdy. Po co przeprowadzać przeszłość przez tortury pamięci?

Nie odrodzi się już nigdy to uczucie, nie powtórzy się już nigdy... i dobrze. W tych odradzających się miłościach jest cynizm, jest płaska pospolitość, jest szarganie ideału.

Ideału?! Jakich patetycznych słów używać zaczyna!

Głupstwo! Do czego dobrnąć można? Sto razy jeszcze będzie kochał.

Sto razy będzie kochał jeszcze...

Miłość to przecież funkcya i nic więcej. Źle. Zaczyna się popisywanie cynizmem. Mądrość szkolarska. Zgłupiał i zbezczelniał przez tą noc: kłamie i cynicznie blaguje. Nie wierzy przecież ‚głupim wykrętom myśli; wie i czuje wreszcie, że jest inaczej.

...Jak głęboko, jak piekielnie głęboko wrosła mu w duszę ta miłość! Zmąciła myśl, stargała uczucie, ani jedna cząstka duszy nie jest wolną.

Nie odrodzi się, nie powtórzy się już nigdy, ani burza, szalejąca w piersi, ani ów cudny poemat życia.

* * *

Co się działo, w jej chorem, biednem sercu, gdy mówiła: „Nie mogę.“ Rozpacz drgała w jej głosie i lęk dziwny.

Lęk ten udzielił się i jemu. Wyszedł, gdyż mu się zdawało, że naciąga w jej sercu cienką, drgającą bólem strunę.

Obmierzło mu jednak tchórzostwo myśli, co wprost do celu nie idzie, bo nie śmie, lecz podstępnie krąży naokoło, coraz bliżej. Trzeba się pilnować; można oszaleć wobec rozwiązania.

* * *

Przez okno zagląda siny ranek.

Wobec dziwnego światła, wobec rannego chłodu pierzchają bezładne, gorączkowe myśli.

Właściwie kocha go.

Kurcz radości przebiega ciało. Kocha go. Wobec jej miłości wszystko wydaje się komedyą obłędów.

On położy koniec majaczeniom zdenerwowanej wyobraźni. Powie jej... zresztą poco mówić, podejdzie tylko, weźmie jej głowę w swe ręce... o tak, i zaśmieje się ciepło, serdecznie z tych przywidzeń. Gwałtowna, nerwowa radość wstrząsa jego ciałem. Chodzi prędko po pokoju.

Jasne promienie wślizgują się do duszy. Zaczyna ubierać się. Chodzi dużo, chodząc ubiera się.

Stan taki trwa przez pół godziny, potem ogarnia go znużenie, wyczerpanie: ręce mdleją.

Tak słabo, w żyłach płynie nie zwyczajna krew, lecz coś delikatnego, ciepłego.. płynie i po drodze rozsypuje się na drobne kuleczki... jak rtęć.

Źle. Uciekać trzeba z ponurego pokoju ze sztywnemi, żółtemi ścianami. Na tapetach desenie się plączą, koło bukietów zjawiają się jasne plamy.

Od czasu, gdy dowiedziano się, że włókna nerwowe biorą początek z komórek nerwowych, wyobrażano sobie, że komórki te „odgrywają wewnątrz organów ośrodkowych rolę regulującą i że są one jakby przejściowemi stacyami pobudzenia.“ Pierwotnie przeto sądzono, że ów mechanizm w mleczu jest bardzo prosty. Wyobrażano sobie, iż „ośrodki nerwowe są systemem komórek, siatkowato z sobą połączonych i że w rdzeniu od strony grzbietowej (tylnej) łączą się z tą siatką komórek włókna czuciowe, od strony brzusznej (przedniej) ruchowe.“ (Flis). W ten sposób sądzono, iż włókna ruchowe z jednej strony, czuciowe zaś z drugiej łączą się z sobą za pomocą komórek, pośredniczących niejako w czynności refleksów. Innemi słowy, działanie odruchów tłomaczono w sposób następujący. Pobudzenie czuciowe przenosi się po danem włóknie na komórkę czuciową *A* ośrodka, która to komórka bezpośrednio z włóknem jest połączona; od komórki *A* przenosi się pobudzenie na komórkę *B*, z którą łączy się jakoby za pomocą włókienek siatkowatych. Z tej komórki przechodzi pobudzenie do komórki ruchowej *C*, w taki sam sposób połączonej z *B*, lub też bezpośrednio po sieci włókien przenosi się ono z *A* do *C*. Wreszcie z komórki *C* wychodzi już włókno ruchowe, po którem biegnie bodziec ruchowy. Proste włókna łączne pomiędzy przedniemi i tylnemi komórkami mlecza pośredniczyć zatem mają, jak sądzono, w odruchach, inne, wstępujące do mózgu lub też zstępujące z niego przenosić mają pobudzenia woli i służyć świadomemu czuciu, wreszcie jeszcze inne mają umożliwiać koordynacyę ruchów.

Wszelako, pomimo iż przypuszczano bezpośrednie połączenie komórek czuciowych i ruchowych rdzenia, nikt jednak połączenia takiego faktycznie nie widział, co tłomaczono trudnościami technicznemi. To było tylko wiadomem, iż większość wyrostków w ośrodkowych komórkach nerwowych przechodzi w sieć delikatnych włókien, co do których to było również pewnem, iż nie uchodzą one do innych komórek. Ale oto w r. 1865 Deiters uczynił doniosłe odkrycie, wykazawszy, że każda komórka ośrodka posiada oprócz sieci drzewiasto rozgałęziających się włókienek jeden *prosty* i jak on przypuszczał — *nierozgałęziony* wyrostek, t. z. cylinder osiowy, który przedstawia właściwe włókno nerwowe, przechodzące do nerwu. Wkrótce przekonano się, że w ten sposób zaczynają się rzeczywiście włókna czuciowe z komórek przednich rdzenia. Czy jednak w podobny sposób zaczynają się włókna czuciowe z komórek tylnych, tego przez długi czas nie zdołano rozwiązać, jakkolwiek Deiters przypuszczał, że tak jest rzeczywiście. Ale oto w r. 1870 pojawiły się słynne poszukiwania Gerlacha nad początkiem czuciowych włókien mlecza. Badacz ten przypuszczał, że włókno czuciowe, przeniknąwszy do mlecza, nie łączy się tu z komórką odpowiednią, tj. nie zachowuje się tak, jak ruchowe, lecz że tworzy bardzo delikatną sieć na końcu, z którą łączy się siateczka włókien komórki ruchowej. Gerlach przyjmował zatem, że pobudzenie czuciowe, przybywające po włóknie czuciowem do mlecza, rozchodzi się po owej delikatnej siateczce i za jej pośrednictwem przenosi się wprost na komórkę ruchową, skąd bodziec ruchowy wychodzi po cylindrze osiowym do przedniego korzonka nerwu. Ta „sieć nerwowa“ Gerlacha stanowiła, zdawało się, owe dawno poszukiwane ogniwo łączne pomiędzy drogami różnego pochodzenia i aż do ostatnich czasów powszechnie prawie była przyjmowana. Tymczasem w ostatnich kilku latach zmieniła się postać rzeczy bardzo zasadniczo, a z każdym niemal dniem gromadzą się coraz to nowe fakty, rzucające zupełnie odmienne światło na mechanizm połączenia wzajemnego dróg czuciowych i ruchowych w układzie nerwowym.

Nowe te odkrycia dokonane zostały głównie dzięki szczególnym metodom, wprowadzonym do techniki mikroskopowej. W badaniach drobnowidzowych technika odgrywa dziś nadzwyczajnie ważną rolę; różne tkanki ciała i rozmaite części komórek różnią się pomiędzy sobą własnościami chemicznemi i fizycznemi, a wskutek tego rozmaicie zachowniją się względem różnych odczynników chemicznych i barwników. Dzisiejszy mikroskopista używa całego arsenału środków utrwalających tkanki, stwardniających je i barwiących a dopiero drogą takiej nadzwyczajnie ścisłej analizy może odróżnić części, pozornie jednakowe i poznać całą komplikacyę budowy komórkowej ciała. Otóż i w badaniach nad tkanką nerwową używano najrozmaitszych metod technicznych i środków, które pozwoliły nam poznać liczne bardzo szczegóły jej budowy. (D. n.)

Dr. H. T. Rozicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Morris. *Arts and Crafts Essays*, 1893. — Poglądy Harrisona i Pearsona na upadek literatury i sztuki.

Prerafaelizm angielski nie zostawił po sobie godnego potomstwa w sztuce: zalew demokratyzmu nie mógł się pogodzić z tą arystokratyczną bezużytecznością i z tem oderwaniem od życia, o które tamci marzyciele się dobijali. Demokracya wszakże wyssała z nich wszystko, co wyssać mogła, przetopiła szlachetny kruszec ich wielkich pomysłów na zdawkową monetę, przydatną dla życia codziennego. Prerafaelizm, przeszedłszy w sztuce czystej bez śladu, wywołał wszakże znaczne zmiany w sztuce zastosowanej do życia. Praktyczność nigdy nie opuszcza anglików, nawet gdy są najszczytniejszymi marzycielami. W Shakespear'ze obok wizyonera znajdujemy brutalnego, nieraz odrażająco, realistę, a najwięksi poeci angielscy naszego wieku—Shelley i Byron—byli zarazem ludźmi czynu. W prerafaelistach ta żyłka—jak przystało na czasy geszefciarstwa — przybrała charakter kupiecki. Rossetti, Hofman Hunt, Morris, Burne Jones już wówczas, gdy przed 50 laty zakładali swe idealne braterstwo (P. Brotherhood) w celu odszukania piękna mistyczno-religijnego, w wiekach średnich, przed Odrodzeniem, jak je pojmowali Giotto, Girlandajo, Botticelli, już wówczas, tworząc alegorye pełne symbolizmu i niedostępne dla ciżby, myśleli zarazem, jakby dotrzeć do kieszeni motłochu. Zajęli się więc sztuką dekoracyjną, malarstwem na szkle, porcelanie, fabrykacyą gobelinów, mebli itd. — słowem, zastosowaniem sztuki do życia. Te zabiegi, mające z początku na widoku głównie korzyści materyalne, wywarły z czasem wielki wpływ na pewne strony techniki angielskiej. Malarze i rzeźbiarze powoli zapomnieli o pierwotnych swych szczytnych celach i poświęcili się całkowicie fabrykacyi wytwornych *bibelotów*, damskich klejnocików, upiększaniem ścian, pułapów i podłóg sa-

---

Uciekać trzeba.

Już jest na podwórzu. W bramie spotyka go stróż, podaje kilka kopert: szara, błękitnawa, biała. Na każdej kopercie adres ten sam i pismo to samo, ani duże, ani małe, wypisane, jednostajne, nieczytelne trochę. Bierze listy, lecz nie wraca do domu, idzie za miasto.

— Dobrze, że kopert dużo; będzie co czytać. Zdaje mu się, że go ostateczny wynik nie obchodzi prawie: wie, że nie, ale dlaczego? Jest to pytanie, które mu od wczoraj świdruje mózg; od niego czuje w umyśle próżnię i głód. Tutaj w ręku ma pokarm, który głód ten zaspokoi.

Idzie za miasto: do domu nie wróci. Boi się, że tam ogarnie go ciężkość i zaduch na widok ścian żółtych, przesiąkłych gorączką nocnych rozmyślań. Na ulicy też nie chce czytać. Kto wie, może jakie głupstwo zrobić. Cóż, tak się od wczoraj rozpsychologizował? Jeszcze trochę i dojdzie do przyćmionego abażuru *fin de siècle*.

Przegląda koperty: biała zwyczajna, biała z kwiatkiem, błękitna, szara. Cóż to, angielski dowcip? Pies z kagańcem na gębie — *hards times*... Przypadek, czy dowcip? Tyle tego! Musiała pisać całą noc. Wena literacka ją opanowała. Wyładowała wszystko na papier... literatka wyrabia sobie styl przy okazyi. Co mu się stało od wczoraj? Głupie docinki.

Obrażona męzka próżność: odmówiono, dalejże szczerzyć zęby na były ideał.

Były ideał... byłej pamięci... brzmi, jak w nekrologu.

Nareszcie za miastem. Rzuca się na trawą, przegryza kopertę jedną, drugą, trzecią. Cała kolekcya arkuszy, kartek i karteczek. Układa je porządnie, przyciska kamieniem. Wyjmuje pierwszy arkusz. Dosyć! Skasować trzeba swoją myśl, a żyć jej myślą.

* * *

„O jedno tylko proszę Cię, Panie, spal te kartki, zaraz po przeczytaniu spal je. Należy Ci się to smutne wyjaśnienie, ale masz prawo raz tylko przeczytać. Z czasem może zechcesz na słowach moich robić sekcyę zimnym skalpelem. Nie rób tego! Sekcya na żywej — okrucieństwo, na umarłej — cynizm. Dzisiaj nie boję się Ciebie, zrozumiesz mię dzisiaj, bo sam chwilowo straciłeś równowagę. To wszystko, co ci powiem, chciałam powiedzieć wczoraj, ale zamknąłeś mi usta zarzutami swymi.

Nie chcę zarzutów odpierać, chcę tylko powiedzieć, czem jestem.

To Ci wytłomaczy, dlaczego twej miłości nie mogłam przyjąć, to Cię może uchroni od przyszłych zawodów. Pokrewnych mi typów jest sporo, szczególniej w pewnych sferach.

Nieraz myślałam, czemu one cisną się do was? Popycha je ambitna chęć przyjmowania udziału w każdym żywszym ruchu, popycha je smak wybredny, lubujący się w przednim gatunku ludzi, popychają je pokrewne wam myśli i uczucia. Mają one często złote ziarna w duszy, ale nie mają w niej płomienia, któryby stopił te okruchy w jedną bryłę. Motorem ich życia jest ambicya, czasami bezduszna i drapieżna, czasami ofiarna i wielkoduszna, czasami słodka i miękka. Dąży ona do zdobycia ciepłej, bezustannej sympatyi, uwielbienia, władzy nad duszami.

Przez ambicyę mówią, czynią, poświęcają się, grają komedyę, przeniewierzają się sobie, przywłaszczają to, czego same nie czuły, nie myślały, do czego jeszcze nie dorosły.

W tej chwili robi mi się podle na duszy: wchodzę w rolę szlachetnego, choć upadłego anioła, co to dla uratowania męzkiej niewinności sam się oczernia tak z poświęcenia.

Marya Gautier w nowym stylu?

Nie, nie to. Tu chodzi o coś ważniejszego, niż o specyalną uczciwość kobiecą. Trzeba przytępić zmysł odczuwania śmieszności. W miarę tego, jak szczerzej i głębiej będę mówiła o sobie, zatracę go.

Teraz najważniejsza. Powiedz, czy możliwym jest związek trwalszy i głębszy

lonowych tak, aby zmysły finansistów i bankierów wygodnie i artystycznie odpoczywały po trudach nagromadzania i oszczędzania bogactw. Ostatecznie nie można by nic mieć przeciw temu „spowszednieniu sztuki,“ i owszem, nawet wielcy artyści średnich wieków i Odrodzenia bywali często jubilerami i tapicerami i warto uratować wszystko, co oni w tych dziedzinach poczynili, aby ich tradycye przynajmniej dla przyszłych pokoleń nie zaginęły — ale dla nich była to tylko praca poboczna, wytchnienie po wielkich dążeniach ku ideałom. Wiek dziewiętnasty wprowadził i w tę dziedzinę porządek: uniemożebnił wielkie pomysły, tytaniczne wysiłki i artystów przykuwa wyłącznie prawie do rzeźbienia talerzy, łyżek lub waz różnego rodzaju dla wygody panów. Idealne niegdyś dążenia zamarły w grymasach „estetyzmu“ i dekadencyi, a co stoi niewzruszenie, to fabryka dekoracyjnych błahostek Morrisa lub „Arts and Crafts Exhibition Society,“ towarzystwo poetów i artystów zajętych sztuką stosowalną, mającą na celu wytworzenie ram estetycznych dla życia realnego. Wystawy doroczne pozwalają śledzić za rozwojem kierunków w tej dziedzinie, a odczyty członków towarzystwa rozpowszechniają wiadomości, dotyczące wszystkich stron sztuki dekoracyjnej. Odczyty te zebrane zostały obecnie w jedną całość przez Morrisa, który zaopatrzył je w przedmowę. Są tu jego szkice o farbiarstwie i drukowaniu, F. M. Browna — o znaczeniu, Cobdena — o oprawach książkowych itd. W przedmowie Morris pszedstawia rozmiary „Odrodzenia estetycznego,“ jakie obecnie w tych dziedzinach zauważyć się daje i przybiera stanowisko czystego wielbiciela sztuki, bez względu na jej społeczne znaczenie. „Nie sposób żądać — powiada — aby dążenie ku pięknu i smak artystyczny rozpowszechniły się w całem społeczeństwie, zanim warunki rozwoju społecznego staną się bardziej normalne. Przyjemnem jest już to, iż w oddzielnych osobach przebudza się poczucie prawdziwego piękna; zadanie artysty polega na tem, aby zadość czynić tym potrzebom i wprowadzać istotne piękno w te dziedziny wytwarzania, które dotychczas są go pozbawione.“ To nie ulega wątpliwości, ale to nie zbija zarazem powyższych naszych uwag, a jeżeli zważymy, iż np. Biblia starożytna, przedrukowana przez Morrisa, sprzedaje się po 100 f. st. egzemplarz, a inne ceny są tegoż rodzaju, to jasnem będzie, iż działalność ta ma na widoku nietylko „piękno,“ ale też zyski — i nic więcej. Możnaby nawet powiedzieć, iż piękno pod wpływem zysków zniknęło.

Fryderyk Harrison ogłosił w czasopiśmie angielskiem *Forum* szereg artykułów w tej kwestyi. Jest to przywódca obecny pozytywizmu, uczeń A. Comte'a i H. Taine'a. Od ostatniego zapożyczył metodę krytyczną. Wnioski, do których dochodzi, są następujące:

Po raz pierwszy od lat stu Anglia nie posiada prawdziwie genialnego i powszechnie uznanego powieściopisarza. Jeden jest zbyt ekscentryczny lub zbyt subtelny, drugi nazbyt nierówny, trzeci zbytnio się poświęca szkicom; ten jest zbyt realistyczny, tamten — nie dość. Wszyscy posiadają krytyków, którzy ich chwalą, przyjaciół, którzy im kadzą, nawet sędziów, którzy ze słusznością ich oceniają: żaden nie jest istotnie wielkim pisarzem. Skąd to pochodzi? Naprzód ze zbytniego rozwoju zmysłu krytyki. Każdy boi się dziś świeżego natchnienia, naruszenia przyjętych obyczajów, wydania się śmiesznym. Jest to rezultat fatalny jednakowości, którą rozwija w nas wychowanie. Wszyscy jesteśmy zdolni napisać list poprawnie, ale nikt nie jest dość różnym od innych, aby napisać genialną książkę. Tak nas przyzwyczajono od dzieciństwa być podobnymi do siebie, iż poloty indywidualnej wyobraźni zostały przytłumione. Cywilizacya dała nam ładne maniery — co jest bardzo wiele — ale natomiast zabiła oryginalność. Są inne jeszcze przyczyny, niepozwalające, aby literatura wydawała dzieła oryginalne; śród nich autor głównie wskazuje zamiłowanie dobrobytu, troski materyalne, które w zupełności pochłaniają umysł. Wygoda, światło elektryczne, koleje, równość to rzeczy doskonałe, ale one czynią utwory piękne niemożliwymi. Istotą tych utworów jest rozmaitość, indywidualność, a świat staje się codzień mniej rozmaitym, mniej indywidualnym, wciąż mniej tajemniczym i interesującym. Kolor i kontrast coraz bardziej ustępują ze sceny życia zewnętrznego. Społeczeństwo staje się coraz bardziej moralnem, rozumnem, ukształconem, ale zarazem coraz bardziej szarem i płowem. Zrównanie wszystkich, sprowadzenie do wspólnego poziomu, do którego dąży demokracya nowożytna, nieubłaganie sprowadzić musi monotonność, powstrzymując energie indywidualne. Doszliśmy już do okresu powieści dla dam; większość romansów obecnych pisana jest właśnie dla nich. Niektórzy autorowie, buntując się przeciw temu ustrojowi miernoty banalnej i grzecznej, wymykają się w krańce zupełnie przeciwległe; przesadzają dziwacznością stylu, wydymają do niesłychanych rozmiarów drobne ździebełka swej oryginalności. Wysiłki ich są wszakże zupełnie próżne: mają przeciw sobie swój wiek. Naprożno Stevenson, aby uciec od monotonności modnych romansów obyczajowych, bawi się w Robinsona na wyspach oceanu Spokojnego; naprożno Kipling ucieka do Indyj i Sudanu w poszukiwaniu typów oryginalnych. Przypominają oni tych żydów, którzy dla święcenia kuczek wtykają kilka gałęzi pośród bruku swych podwórzy. Bądźmy rozumni: nie poćmy się w poszukiwaniu efektów nowych, a jeżeli nawet znaleźlibyśmy je, nikt koło nas w nich smakować nie będzie.

Jeszcze gorzej, zdaniem autora, przedstawia się położenie sztuki. Ta jest zupełnie chora i wykolejona. Sztuka istotna, wielkiego zakroju, nie może istnieć w epoce, która nie ma ani śladu zapału religijnego, narodowego lub społecznego, gdzie nikt nie uznaje żadnych ideałów piękna i cnoty. Sztuka stała się zwykłym kaprysem osobistym, artysta stał się zdobnym rzemieślnikiem, a banalna zręczność zajęła miejsce natchnienia. Nic z tego, co ożywiało wielką sztukę przez wieki całe, nie istnieje. Czas nasz jest epoką krańcowej specyalizacyi, która ma niewątpliwie swe dobre strony, ale jest nieprzyjaciółką piękna. Sztuka jest z istoty swej syntetyczną; wymaga ona prostoty, jedności pomysłu, które z dnia na dzień stają się rzadsze. Z drugiej strony rzeczą uświęconą i świętą jest demokracya, kwitnie ona po obu brzegach Atlantyku. Ale nie jest to demokracya z czasów Peryklesa, ani włoskich rzeczpospolitych średniowiecznych, jest to demokracya zajęta przemysłem. Jakże przypuścić, iż ona zostawi wyobraźni dość wczasu, spokoju, niezależności? Otóż w tem właśnie zawiera się pierwiastek zła: sztuka we wszystkich swych formach stała się przedmiotem handlu. Publiczność kupuje twory wyobraźni tak samo, jak naczynia i klejnoty; autorowie tych dzieł muszą myśleć o swym zarobku, jak krawcy lub szewcy. Wpadliśmy w błędne koło. Publiczność woła do artystów: „Dajcie nam dzieło iście wielkie, a zapłacimy wam jego cenę,“ a artyści odpowiadają: „Zapewnijcie nam byt a pracować będziemy nad stwo-

---

między człowiekiem czystych intencyj, niekłamanego zapału, a istotą, co wszystko szczere zatraciła, co żywsze uczucia przydusiła ambicyą, co wiecznie kłamała, drapowała się w słowa i czyny?

Co się z nią stanie, jeśli jedyny, ukochany człowiek zrozumie, że cały jej duchowy dorobek pozorem był tylko. Co się z nią stanie, jeśli, poznawszy się na jej lichym gatunku, zatęskni za kobietą swojej rasy? Co się z nią stanie, jeśli, napotkawszy podobną sobie, pokocha ją? Tem gorzej, że wobec niego kłamać nie umiem i nie chcę.

Wczoraj zrozumiałam dopiero, że tu chodzi nie o miłość, nie o szczęście, lecz o życie całe. Widzieć każde poruszenie Twojej duszy i porównywać je z uczuciami swojemi! Robiłam to nieraz i zawsze czułam ból i upokorzenie.

Zrozum, że wszystko lepsze starło się w życiu na drobny pyłek uczuć. Leży on w duszy, życiowy wicher porusza go niekiedy i tworzy złotawe tumany, zasłaniające mi na chwilę wszystko, nawet moje „ja.“ Wichry takie prędko przechodzą jednak, jeszcze prędzej opadają tumany, i znów ukazuje się smętna pustynia, śród której, jak żałobny obelisk, sterczy owo niezapomniane „ja.“

Czasami myślę, że przyszłam już na świat zwyrodniała uczuciowo i obłudna. Niektóre fakty z dzieciństwa zdają się to potwierdzać. Lecz nie, umiałam jednak dawniej czuć silnie, prawdziwie i dobrze. Gdy myślę o tych zapałach niewyzyskanych, natchnieniach roztrwonionych, błyskach zatraconych w ciemnościach bezdroża, czuję żal do ludzi, którzy urabiali mnie w swoim czasie.

Źródłem mej niedoli było to, że nikt mnie nie kochał dla mnie samej: każde uczucie trzeba było spłacić, zapłacić, odpłacić; każde uczucie było długiem, tem pilniejszym, że zaciągniętym bez wekslu. Ja nie umiałam obejść się bez ludzkiej sympatyi: robiłam dużo, by ją zyskać, a jeszcze więcej, by ją utrzymać. Spostrzegam, że się bawię w gadaninę, z której Ci trudno będzie powyciągać włókna prawdy; czekaj, przejdę lepiej do faktów.

Zaczęło się już wszystko w rodzinie. Było nas dwie, młodszą kochano, mnie admirowano miłością ambitną, samolubną, która wzamian za swe poświęcenia spodziewa się stokrotnej nagrody. Czemu zawdzięczałam wyjątkowe stanowisko w rodzinie? Byłam pierworodną, miałam bielszą cerę, ściąglejszą twarz, cieńszy nosek. Gdy obcy chwalili moją powierzchowność, rodzice po francusku, żeby nie psuć dziecka, wynosili pod niebiosa moje duchowe przymioty. Rozumiałam rodzicielskie pochwały: od kolebki przecież miałam bony francuzki. Nie umiałabym dokładnie określić, czego spodziewali się po mnie moi starzy: improwizacyj Urszulki, czy popisów Mozarta? Spodziewali się czegoś, a każde chwilowe rodzicielskie zwątpienie dawało mi się dobrze we znaki. Postępowano wtedy ostro, przemawiano zjadliwym, zawiedzionym tonem. Matka szczególniej, pomimo wielkiej miłości, umiała być tyranką; doprowadzała mię nieraz do spazmów swoją rozżalwioną irytacyą i trapieniem się po zawiedzionych nadziejach. Biedna ta kobieta chciała mnie wykierować na geniuszka. Wierzyła święcie, że mogłabym nim być, tylko nie chcę. Sama w to uwierzyłam wreszcie: po każdej scenie czułam się niewdzięczną, niedbałą i winną. W pieluchach chyba zaczęli mnie uczyć, bo, jak zapamiętam siebie, umiałam już czytać. Uczono mnie sążnistych wierszy, polskich, francuskich i niemieckich. Cud, że dzięki tak wysokiej, a forsownej kulturze nie stałam się idyotką. W takiej atmosferze, przesiąkłej nadziejami, niepokojem, zwątpieniem, rosłam i denerwowałam się.

(D. n.)

rzeniem rzeczy wielkich.“ Stąd pochodzi ten szczególny i opłakany zwyczaj wystaw dorocznych. Są to prawdziwe jarmarki i bez wahania rzec można, iż one przyczyniły się w najznaczniejszym stopniu do upadku naszego życia artystycznego. Zastanówcie się nad warunkami moralnymi i materyalnymi, w jakich mistrze starożytni tworzyli swe arcydzieła. Wyobraźcie sobie Giotta, pracującego przed oczyma Dantego, Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej, Rafaela w Watykanie, Tintoreta u St. Rocha. Czyż ich obrazy byłyby takimi, jakimi są, gdyby były tworzone dla przyszłego Salonu, malowidła sezonowe, mające z czasem upiększać domy bankierów? Mistrze starożytni myśleli o swych utworach, malarze współcześni myślą o swej klienteli i to o klienteli, której nie trzeba oczarować, ale raczej pochlebiać i oszukiwać na wszystkie sposoby.

W końcu swej pracy autor stawia sobie zapytanie, jaka jest droga wyjścia z tego położenia. Odpowiedź brzmi nader pesymistycznie: Nie widzę — powiada — żadnych środków praktycznych zakończenia tej smutnej sytuacyi; jest ona nie do poprawienia. Co najwyżej można odnaleźć wskazówkę lekarstwa w tych słowach świętego Pawła do Tymoteusza: „Ci, co zechcą stać się bogatymi, wpadną w pokusę i zakosztują żądz bezmyślnych i okrutnych, które doprowadzą człowieka do zguby. Ale ty omijaj te rzeczy i szukaj tylko uczciwości, wiary, rezygnacyi, pogody i miłości.“

Ale być może, iż to wyczerpanie i niemoc, które zauważyć można nie tylko zresztą w literaturze angielskiej, lecz też w niemieckiej, francuskiej — są skutkiem także ich wyczerpania rasowego? Na tę stronę kwestyi zwrócił uwagę inny krytyk angielski, Pearson, dowodzący w *Forthightly rev.*, iż literatura i sztuka angielska powinny ustąpić ze sceny, którą zająć mają indusy, chińczycy, wogóle ludy nieznużone pracą cywilizacyjną. W orzeczeniu tem jest być może wiele prawdy. Dla psychologa jest rzeczą jasną, iż ludy starzeją się. Weźcie stan duchowy Francyi z chwili obecnej, jak on się wyraża w literaturze — co za straszne znużenie tam panuje! Wszystkie młode literatury są realistyczne. Homer jest realistą w pełnem tego słowa znaczeniu. Naturalizm francuski i angielski miał zupełnie inne pochodzenie. On był skutkiem nie prostoty, lecz cywilizacyi, skutkiem filozofii pozytywnej. Realizm europejski miał poprzedników w klasycyzmie i romantyzmie i ostatecznie wyrodził się w dekadencyę. Jest to stan ducha prawie beznadziejszy. Przepowiednie Pearsona są więc do pewnego stopnia uzasadnione, ale ostatnie słowo w tej kwestyi wypowie przyszłość.

L. W.

LITERATURA FRANCUSKA.

Jan Reibrach. *Aller et retour* (Tam i napowrót). Paryż 1894.

Ravail naczelnik stacyi przestał krzyczeć i gestykulować. Wyprężywszy rękę, w której trzymał latarnię, spojrzał przed siebie, potem zdjął czapkę i złożył nizki ukłon. W drzwiach poczekalni zjawiła się barczysta postać hrabiego Mersolles.

Wnętrze sali roiło się od włościan. kobiety z koszami i pakunkami zasiadły ławki. Jutro miał być targ. Popularny, coraz bardziej popularyzujący się deputowany Davant w oddziale pierwszej klasy zgromadził wybitniejszych mieszkańców i wypytywał, jak idą sprawy, zapisując życzenia.

Naczelnik przyłożył rękę do klamki, żeby i hrabiego prosić do pierwszej klasy. Lecz cofnął się. Pamiętał o niechęci Marsollesa do Davanta. Więc otworzywszy drzwi do biura, zaprosił go.

Kilka lat już podróżował syn hrabiego, Marceli, dziś zapowiedział przyjazd. Oto pociąg świszcze w dali przeciągle, gorączkowo.

Błysnęły w mrokach czerwone światła lokomotywy, szyny zadrżały. Pociąg stanął przed dworcem. Kilkanaście osób wyskoczyło, wśród nich Marceli ze służącym. Wysoki panicz ubrany wykwintnie, już znudzony, mimo młodego wieku.

— Mój syn — przedstawiał hrabia młodzieńca lekarzowi Rapetowi i notaryuszowi Majusté.

Marceli obrzucił nowych znajomych niedbałym wzrokiem, zatrzymał spojrzenie dłużej na żonie notaryusza, skłonił się zimno i podążył ku wyjściu.

Po kilkunastu minutach rwące się konie stanęły u bram zamku, syn nie biegł witać komnat, w których wyrósł. Przypomniał sobie stajnie i przywoławszy rządcę, kazał prowadzić się do koni.

Gdy hrabia tego wieczoru znalazł się sam, na twarz jego padł smutek. Przybycie syna wywołało w nim szereg wspomnień. Marcelego oblicze zachowało ślad rysów matki. Dawne to były dzieje, zmartwychwstały teraz i wychodziły z głębi grobu osłonięte całunami.

Przed dwudziestu kilku laty ożenił się. Widział przed sobą tę twarz uśmiechniętą, ze złocistymi puklami, oczyma promiennemi. Czoło czyste i usta jak korale, lekko rozwarte.

Kochał ją, żył tylko nią. A nie był to związek oparty na zewnętrzności. Ich dusze wzięły z sobą ślub. Oboje czuli tę samą miłość sztuki, oboje jednako kochali samotność lasów. Łączyła ich nienawiść zła, uczucie dla cierpiących.

Po urodzeniu dziecka życie znów popłynęło skąpane w promieniach. Pamiętał przejażdżki konne po lesie, rozmowy wśród szumu drzew. Zskakiwali z siodeł nad strumykiem, on brał ją w objęcia i pokrywał pocałunkami. Siadali w zaciszu, patrzył w jej oczy głębokie jak jeziora. Jej słowa wydawały mu się białymi gołąbkami, szybowały cicho w powietrzu, opuszczały się na ramiona, głaskały dzióbkami.

Naraz pewnego dnia zastał ją w objęciach innego. Jak to się stało? Zabił oboje i zamknął się w swym zamku. I życie zawarło się, zostało pasmo dni, lecz niedostępnych dla szczęścia.

Zwalczywszy wyrzuty, postanowił dokonać samobójstwa moralnego. Posiadał wiarę w ludzi, religię miłości, wzbijał się ku ideałowi. Ależ to wszystko kłamstwo. Niemasz dobroci, niemasz litości, niema cnoty. Na pogardę wszystko zasługuje, fałsz i złuda.

Miał dziecko, a jad, który począł wytwarzać się w żyłach, szczepił w duszę syna. Uczył, że dzieje ludzkości wykazują wszędzie zwycięztwo silnych nad słabymi, że hańbą i zadatkiem klęski jest miękość serca, że sny wszelkie płoszyć trzeba, bo życie ich nie lubi. Walka o byt podstawą historyi, energia brutalna klejnotem duszy. Siła przed prawem. Widok cierpienia nie powinien wzruszać, przeciwnie radować. Bo cierpienie jest prawem natury, działamy w jej duchu, sprawiając je.

Czasami nieśmiało myśli szeptały co innego. Lecz hrabia ściskał je dłonią i deptał. Gdy Marceli wzdrygał się, widząc pająka zabijającego muchę, ojciec tłómaczył, że zwierzęta muszą żyć mięsem drugich i kazał muchy wkładać w siatkę. Parobcy katujący konie, gajowi obcinający skrzydła młodym krukom prowadzili dalej edukacyę. Nareszcie rezultat był osiągnięty. Młody panicz stracił wszelką wrażliwość i szlachetność, żywił pogardę dla niższych, patrzył na życie, jak należy. Rozumiał się na koniach i pomny był, iż posiada krocie.

W poranek listopadowy pani Majusté wybrała się do wioski Monsigny. Nudziło się jej w domu, chciała odetchnąć świeżem powietrzem, zajrzeć do fermy, którą mąż posiadał. Zapowiedziawszy, że wróci na obiad, wyszła w kierunku lasu.

Przebyła most, otoczyły ją drzewa. Suche gałęzie trzeszczały pod nogami, z koron spadał deszcz złota czerwonego, żółtego, zielonawego. Słońce poczynało wychylać się z mgły. Droga zwężała się, rosnące przy ziemi krzaki co chwila zaczepiały o suknię.

Kilka kwiatków na pół zwiędłych, ptaszek, który zaszeleściał w górze, zmieniły usposobienie. Czuła się dobrze. Mówiono, że wkrótce hrabia urządzi łowy i ścigana zwierzyna, sfory ogarów, trąbka myśliwego wtargnęły w jej myśli.

Naraz podskoczyła, lekko krzyknąwszy. Marceli na koniu wjechał z bocznej ścieżki. Stanął w poprzek drogi.

— Pani tu? — rzekł witając. I sama?

O kilkanaście kroków za nim koń chrząknął. Ona obróciła głowę.

— To mój groom. O, możemy być spokojni, on umie tylko po angielsku.

— Jaka pani piękna — ciągnął dalej — różowa. Jakie świeże usta.

Szereg banalnych komplementów zakończyła propozycya wspólnego obiadowania w fermie, w osobnym pokoiku.

A chociaż pani notaryuszowa zdziwiona śmiałością propozycyi i oburzona podobnem postępowaniem odwróciła się i zawrzała gniewem, w kilka tygodni należała do Marcelego. Arogancyę, jaką okazywał wobec niej, uważała za zaletę wielkopańską.

Od początku do końca miłostki nie objawiał hrabia iskierki uczucia, na chwilę nie zapomniał się, traktował swą bogdankę jak służącą, posunął się do dawania jej pieniędzy. Pod różnymi pozorami z tem samem tłem: uważania jej za kupne „chair à plaisir.“

Zbliżały się wybory; dumny z wykształcenia po swej myśli Marcelego, hrabia postanowił wziąć w nich udział. Więc tem chętniej sprosił z okolicy znajomych, z miasta urzędników. W imieniny Mersollesa około godziny jedenastej rano rozpoczęło się strzelanie. Wieczorem uczta, rozprawy o sprawach społecznych.

Nazajutrz po okolicy gruchnęła wieść, że służąca dzierżawcy z Monsigny znalazła swego pana nad rzeką ciężko rannego. Lekarz robił nadzieję uratowania go, ale pod warunkiem, że nie będą nużyć chorego badaniem. Prokurator Morlaix, wzdychający za sprawą, któraby nareszcie zwróciła nań uwagę przełożonych, pojechał śpiesznie na miejsce wypadku, przy nim cwałował oficer żandarmeryi.

Morlaix układał w myśli mowę, jaką otworzy proces mordercy Franciszka. Wtem na drugim brzegu potoku rozległ się tentent kopyt. Nadjeżdżał Marceli.

— Cóż to panowie robicie? — wołał. Oglądacie miejsce, gdzie załatwiłem się z moim człowieczkiem? Wysłałem świeżo rządcę, aby doniósł, co potrzeba. Franciszek wybierał nocą z wody płynące drzewo, potok jest na naszem terytoryum, miałem więc do czynienia ze złodziejem. Jako takiemu wpakowałem mu w pierś nabój.

Marceli znowu wyjechał.

Hrabia przesiadywał w otwartem oknie pawilonu, wzniesionego w stylu renesansowym, czytając książki naukowe lub topiąc wzrok w młodej, wiosennej zieleni. Ale dziwne, ilekroć myślał o Marcelim, nie był zadowolony.

Brzozową aleją parku poszły dwie dziewczyny. Marta Ravailówna, Marcela, córka rządcy Louvaina. Ująwszy się pod ręce, rozprawiają o przyszłych mężach. Mnie —

mówi Marcela — potrzebaby męża bardzo dobrego, bardzo łagodnego. Mielibyśmy około siebie wiele zwierząt, najwięcej kwiatów i kwiatów. On niechby był wysokim, bo ja mała. Wieczorem, kiedy szlibyśmy w świetle księżyca lasem, ja bałabym się, a on dodawałby odwagi.

— Głupia jesteś — ofuknęła ją Marta.

Ona nie wierzyła w szczęście. Zaznała już złej doli; jej matka całymi dniami płakała, ojciec upijał się, łamał sprzęty. Dzieci co rok przychodziły, a do ust nie było co włożyć.

— Więc nigdy nie będziesz kochać? — spytała tamta.

— Nie.

Marcela często gościła w parku. Przyroda była dla niej czemś nieograniczonem, nad wszystko ukochanem. Wyniosła z pensyonatu znajomość rysunków, szkice i akwarele sprawiały jej przyjemność. Często rankami, kiedy zamek drzemał, brała z sobą wązkie płótna, siadała w zaciszu i malowała widoki lasu, niebo, gęstwiny drzew.

Kończyła jeden z obrazów z takim zapałem, że nie dostrzegła, iż południe nadciąga. Nagle posłyszała kroki. Sądziła, że ojciec; zapłoniła się, ujrzawszy hrabiego.

On rzucił okiem na obraz i odczuł wdzięk. Tu i owdzie znać było niewprawną rękę. Lecz z całości wyłaniało się piękno. Przyroda była usubtelniona, owiana naiwnością. Młoda dusza pełna poezyi przenikała utwór.

Dał jej kilka rad, prosił, aby jak najczęściej przychodziła do parku i odszedł zamyślony... Odtąd umysł jego coraz bardziej począł odchylać się od linii prostej, po której biegł ostatnimi czasy. Myśli wróciły znowu do sztuki, ukochały przyrodę. Minął rok i przekształcenie prawie dokonało się.

Ilekroć zapatrzył się w drzewa rozwijające listki, w kwitnące kwiaty, widział Marcelę. Przypominał sobie, jak ongi podczas łowów uratowała kruczka, jak płakała i biła się ze strzelcami, jak wdzięcznością wezbrały jej oczy, kiedy Rapet przyrzekł uleczyć ptaka. Pamiętał, że choć w pierwszej chwili pochwalił Marcela za „ukaranie“ Franciszka, czuł potem niechęć.

Wrażenia oddzielone odstępami czasu zlały się w jedno. Powrót syna jeszcze silniej wpłynął. Prawo przeciwieństwa poczęło działać w ojcu. Zimny, cyniczny panicz raził go, mącił atmosferę. Kiedy odjechał, hrabiemu zmora spadła.

Jednak smutek go owiewał. Spojrzał w przeszłość i zobaczył, że prawie nie żył. Włos siwiał, a cóż on w życiu po sobie zostawił?

Wrzesień się kończył, listki opadały. Melancholia bladych poranków jesiennych zalegała puste aleje, pola ogołocone ze zbóż. Ptaki milkły lub odlatywały. W Mersollerze wciąż smutek płakał. A jeszcze głośniejszem rozbrzmiał echem, kiedy nowy ślad zacności Marcelego wybłysnął. Po pani Majusté upodobał sobie Marcelę, czy uwiódł ją, nie wiadomo. Ale serce zranił i dziewczyna w oczach więdła. Służąca, od której jedynie hrabia mógł się coś dowiedzieć, mało wiedziała. Nowe koło przeszło przez pierś.

Nareszcie pewnego dnia, goszcząc u notaryusza, któremu uciekł kancelista z żoną i pieniędzmi, poznał w klejnotach, „kupionych bez wiedzy męża“ kosztowności skarbca rodzinnego. W kilka dni później Ravail odprawiony z kolei za naruszenie kasy, przyszedł żądać odszkodowania — za uwiedzenie córki. Przynosił list Marty, pisany do matki, przechwycony. Nędza rodziny zmusiła dziewczynę do sprzedania się Marcelowi.

Znowu Marceli i znowu Marceli.

Przyrzekł zaopiekować się Majusté, sumę pieniężną Ravailowi i wezwał telegraficznie Marcelego. Żądał odesłania Marty, cisnął mu w twarz dotychczasowe sprawki. Ale syn zuchwale odparł, iż postępowania nie zmieni i niczyjej woli nie ulegnie.

— Więc póki Marta będzie w Paryżu, mój notaryusz nie wyda ci ani grosza. Po matce nie masz majątku. Przykro mi, że do tego środka uciekam się, niestety, jest on konieczny.

Jak stal, która nabiera hartu, gdy potok zimnej wody ją otoczy, hrabia pod wpływem ostatnich wypadków odniósł ostateczne zwycięztwo nad dawnymi poglądami. Zerwanie z synem, niemiłe, postawiło pytanie jasno. Obaj byli jak strzałki magnetyczne, biegnące w kierunkach przeciwnych.

Jedenasta w nocy biła, hrabia palił cygaro i spoglądając w kłęby dymu, dumał. Majusté, Ravailowie, Marcela. Przy Marceli zatrzymał się. Biedne dziecko chore było ze smutku i bólu, lecz przebyło kryzys i wypiękniało. A w jego duszy wszystek żal roztopił się do niej, nie winił jej już za zbliżenie się do Marcelego.

Podłoga zatrzeszczała. Przypomniał sobie doświadczenia spirytystyczne, prowadzone w okolicy i uśmiechnął się. Dalej marzył. Kochał Marcelę, może z nią nareszcie pójdzie po kwiecistej drodze. Ale słońce zasnuła chmura. Co począć z Marcelim, żeby nie shańbił honoru, żeby nie ożyły w nim instynkty jego dziadów i praszczurów, krwiożercze, grabieżne?

Podłoga znowu zatrzeszczała. Drgnął. Kilka dni temu znalazł swego psa duńskiego otrutym. W uszach brzmiały słowa Marcelego: nikogo nie słucham!

Chciał obejrzeć się. Wtem poczuł, że ktoś rzucił się na niego. Nóż przebił piersi, nad twarzą pochyliła się głowa parobka z fermy, z którym Marceli rozmawiał...

Nazajutrz rano przyszedł do siebie. Nóż tkwił w ranie, krew skrzepła w czarny płat. Wiedział, że z wydobyciem narzędzia morderczego zginie. Ale aby usunąć podejrzenie od kogokolwiek, dowlókł się do stołu i napisał kartkę objaśniającą, iż odbiera sobie życie.

Słońce wschodziło, światło padało na komnaty. Na usta wkradło się słowo: Marcela.

Umierał podwójnie nieszczęsnym. Nie mógł napisać, co syn zrobił, ani zapobiedz, co zrobi. W chwili, kiedy miał być szczęśliwym, padł. I ból srogi ścisnął serce, kiedy na oczy opadła zasłona rozpoczynającej się śmierci.

Głęboki utwór Reibracha, pełen psychologicznej prawdy, pomyślany jest w duchu epicznym. Mersolles rzucony na tło życia ogólnego, obok rozbioru stanu duszy hrabiego i innych—autor roztacza obrazy bytu Ravailów, Louvainów, miasteczka i fermy.

Ślad „Życia brutalnego“ widoczny w pesymistycznem zakończeniu. Po części w rysunku osób podrzędnych; niektóre są podobne do portretów sylwetkowych o wyraźnych konturach, lecz w sukni bez fałd.

W. Bugiel.

Z ESTRADY.

Do sztucznie wyszrubowanych sław naszych należy niewątpliwie p. Wąsowska. Jest to fortepianistka bardzo uzdolniona, o technice wyrobionej i czystości gry takiej, jakiej nie spotykamy ani u Reisenauera, ani u Grünfelda, ani nawet u Rubinsteina, wiadomo bowiem, iż każdy z tych trzech mistrzów, nieraz w chwili natchnienia, potrąci o sąsiedni klawisz niepotrzbnie lub nieco chaotycznie wykona jakiś pasaż, rzuci akord, w którym odezwie się ćwierć tonu niewłaściwego. Pannie W. brzydki ten wypadek nie przytrafia się nigdy: zdaje się, że nawet przez sen mogłaby ona grać tak samo czysto, poprawnie, sumiennie, jak na jawie, gdyż, wszedłszy raz w dany tryb, nie umiałaby już po prostu odtwarzać kompozycyi muzycznych inaczej.

Czystość, poprawność, sumienność obok wyrobionej techniki są to bez wątpienia wielkie i cenne zalety: czy mogą one jednak zapewnić sławę europejską, jak to zwiastują *Kuryery*, brzmiąc urbi et orbi o wielkiem powodzeniu p. W' w Wiedniu, Berlinie itd.

Naiwni niech wierzą; sceptyk powie sobie, że bez tego, co nazywamy „nerwem“ muzycznym, a co w istocie polega na indywidualności i rzutkości pomysłów, na odświeżaniu powtarzanych tysiąckrotnie utworów natchnieniem „ja“ własnego, na uzupełnianiu myśli kompozytora i tłomaczeniu jej na swój język odrębny, że bez tego wszystkiego, co stanowi tchnienie geniuszu choćby w najbardziej ograniczonym jego zakresie, choćby zatajonym jeszcze w osłonkach niewyrobienia, nie dochodzi się do sławy w miastach, przez które, niby przez główne rynki targowe, przepływają najpotężniejsze talenty.

Chyba że dbający o własne dobro impressario zadmie w surmę sążnistej reklamy: wówczas wszystko możebne. Oszukują nas ciągle, przedstawiając nam drugorzędne talenty obcokrajowców jako pierwszorzędne: dlaczego nie mielibyśmy i my wziąć od czasu do czasu „na kawał“ zagranicy?

Inna rzecz, czy taka sztuczna szruba wpłynie na korzyść młodej i uzdolnionej artystki, czy nie obudzi w niej zbyt wielkiej pewności siebie i wiary w zdobytą już umiejętność, co stałoby się hamulcem dla dalszej pracy i postępów.

Reklamy zabiły niejeden talent w zarodku. P. W. nie jest wprawdzie już początkującą artystką, w każdym razie jednak z trudem i mozołem powinna kroczyć naprzód, aby sztuką zdobyć to, co innym daje od urodzenia natura: odrębność swoją, polot natchnienia.

Dziś ani w tonie, ani w zwrotach wykonywanych kompozycyi nie przebija się charakter młodej fortepianistki. Pracuje ona nieraz siłą niepotrzebnie, jakby dla okazania, że ją posiada. Byłoby to cechą młodzieńczego temperamentu, gdyby nadmiar jego można było zauważyć u niej wogóle; zdaje się jednak, iż w zdobyciu sztuki panowania nad instrumentem i nie poddania się porywom chwilowych uniesień młoda koncertantka nie miała zbyt wielkich trudności do zwalczenia. Talent jej nie jest wybuchowy, co tembardziej utrudnia gonitwę za „nerwem muzycznym.“

Znawcy mówią, iż, kto go nie ma w sobie, ten pracą i wysiłkiem nie dojdzie do niego nigdy: czy można jednak z góry określić wytyczną rozwoju talentów? Wiją się one nieraz tak zygzakowatą, splątaną ścieżyną, nim dojdą do pełni sił swoich, iż trudno biedz za nimi wzrokiem i mierzyć cyrklem każde zagięcie wężowej linii. Może p. W., która dotąd prosto i śmiało kroczyła przed siebie, zbaczać wreszcie zacznie od szablonu, w którym dotąd gra jej jeszcze spowita.

Na razie szumne wykrzykniki naszych reporterów osiągnęły pożądany skutek. Na ostatnim koncercie Tow. Muz. wywoływano p. W. jako artystkę wielkiej sławy zagranicznej nieskończoną ilość razy. Sale redutowe, które tydzień temu patrzyły na zwycięztwo młodego, nieznanego, niereklamowanego Kreislera, trzęsły się formalnie od oklasków.

Czy takie, podnietą druku wywołane powodzenie może i powinno zadowolnić sumiennego, świadomego środków i sił swoich artystę?

Sądzę, że nie.

Każdy winien mieć reklamę sam w sobie. Kto sławę swą opierać zechce głównie na manifestacyach reporterów, ten zawieść się może niejednokrotnie, są oni bowiem kapryśni i lubią zmieniać ideały.

Selika.

NOWE KSIĄŻKI.

Inostranietz. *Considerations sur l'économie rurale de la Russie.* 1893 Paryż. Skala do mierzenia wartości pewnej pracy publicystycznej jest nader odmienną, stosownie do tego, dla kogo książka lub broszura jest przeznaczona. W takiem właśnie położeniu znajduje się praca, której tytuł wymieniliśmy w nagłówku, a o której musimy powiedzieć słów kilka, skoro nam została nadesłana. Odbitka ze znanego *Journal des Economistes* chce zaznajomić publiczność francuską ze stosunkami rolnymi Rosyi: wykazać całe znaczenie rolnictwa w ekonomicznem jej życiu, rozmiary posiadłości włościańskiej i niewłościańskiej, wreszcie skreślić odmienne obszary: czarnoziemu, stepowy i północny, dać ich fizyognomię i związać zamożność ludności i rozwój nierolnictwa z warunkami bytu w każdym z tych terytoryów. Ze swojego zadania autor wywiązuje się dobrze. Moglibyśmy posprzeczać się o ten lub ów szczegół, nie zgodzić się na jakiś pogląd, ale z rzeczy głównej — dania francuskiemu czytelnikowi wyobrażenia o ekonomicznem życiu Rosyi — autor wywiązał się należycie. Inaczej jednak sąd nasz wypadnie, gdybyśmy nadesłaną broszurkę oceniali ze stanowiska wymagań miejscowych. Śmiało możemy powiedzieć, że ani jeden z miesięczników ruskich nie drukowałby tej pracy; nie dlatego, aby była mylną, ale ponieważ jest za pobieżną, składa się z sądów, które daleko lepiej już były uzasadnione i wypowiedziane. W ten sposób powtarza niekiedy rzeczy, których już uczeń gimnazyum uczy się w podręczniku geografii.

—k—

Zygmunt Gloger. *Słownik gwary ludowej w okręgu tykocińskim.*

W kilkomilowym promieniu poszukiwań autora ludność składa się z drobnej szlachty (osiadłej w wiekach średnich) i włościan. Ku wschodowi w pow. białostockim lud mówi gwarą mieszaną, polsko-ruską; stanowi ona wschodnią granicę badanych okolic, z których zebrane wyrazy p. Gl. zamknął w swym słowniku. Znalazłszy u młodych pokoleń pewne różnice w wymawianiu i wiele wyrazów naleciałych, uwzględnił tylko mowę starszych. Skutkiem tego słownik jest poniekąd zbiorem archaizmów, wyrazów w znacznej części wychodzących z użycia lub wcale już nieużywanych.

Jerzy Brandes. *Umysły współczesne.* Portrety literackie XIX w.; przełożyła z upoważnienia autora Malwina Posner-Garfein, tom II.

Książka ta zawiera sylwetki następujących postaci; Gustawa Flauberta, Fryderyka Paludan-Müllera, Björnstjerne-Björnsona, Henryka Ibsena, Edmunda i Juliusza Goncourtów, Iwana Turgeniewa i Fryderyka Nietzschego. Autor, mówiąc o Flaubercie, twierdzi, iż ten nigdy sam ogółowi o sobie nie opowiadał. Milczał zarówno o swoich zasadach artystycznych, jak i o szczegółach ze swego życia prywatnego. Ażeby więc bliżej poznać tego pisarza, trzeba dokładnie przestudyować dzieło jego przyjaciela, Bouilheta. Flaubert wprowadził do twórczości poetyckiej metodę, zbliżającą tę produkcyę do naukowej. Paludan-Müllerowi, poecie duńskiemu, Brandes przyznaje umysł głęboki, refleksyjny, pokrewny duchowi germańskiemu. Björnstjerne-Björnson dla Norwegii jest więcej niż poetą. „Dla ludu swego nietylko pisał piękne opowieści, pieśni i dramaty — codziennie żyje z tym ludem, pozostaje z nim w ciągłych stosunkach. Umiejąc pisać najsubtelniejsze, najdelikatniejsze poezye, nie uchyla się od najgrubszej pracy: dziennikarza i mówcy ludowego... Wieje od niego życie. Björnson pojął posłannictwo poety w najszerszem tego słowa znaczeniu.“ Ibsen nie ma litości dla ludzi, odczuwa tylko troskę o nich. Hołduje on pesymizmowi oburzenia. „Brak współczucia dla niektórych cierpień uwarunkowany jest u niego przez przekonanie o wychowawczej potędze cierpienia.“ Stanowisko jego wobec polityki ma dwie strony: wstręt do utylitaryzmu i — wiara w siłę jednostki tudzież upodobanie dylematów radykalnych. Bracia Goncourtowie wnieśli do powieści staranność w sumiennem oddaniu rzeczywistości, subtelność w drobnych rysach, źródle wrażeń zmysłowych, wreszcie — życie psychiczne kobiet. Warstwy ukształcone krajów germańskich i romańskich, zdaniem Brandesa, zawdzięczają Turgeniewowi wszystko, cokolwiek wiedzą o wewnętrznem życiu rasy słowiańskiej. Odkrył on świat pełen nowych motywów. Europa podziwiała w nim nie malarza obyczajów, lecz artystę. Nietzsche jest umysłem, który sam niezależnym będąc, innym mówił o niezależności. „Dla innych zostać mógł ową oswobodzającą potęgą, jaką dla niego w młodości był Schopenhauer.“ Pod względem poglądu na kulturę i marzenia o arystokracyi ducha, któraby objęła władzę nad światem, Nietzsche podobny jest do Renana, a pomimo to nie ma dlań ani słowa uznania. W wywodach przeciwko socyalistom i anarchistom, tudzież w lekceważeniu kobiety — zbliża się do Hartmanna.

Maryan Gawalewicz. *Stare długi*, sztuka w 2 aktach. Warszawa, 1894.

O utworze tym pisaliśmy obszerniej, gdy był grany na scenie teatru Rozmaitości.

W. Rapacki (syn). *Pan Bonifacy*, farsa w 1 akcie.

Autor obrał za tło życie małomiasteczkowe, a raczej jeden jego szczegółik skarykaturowany. Wybitną postacią jest pan Bonifacy, grafoman, piszący nieustannie komedye i dramaty, pomimo ciągłego odrzucania ich przez rzeczoznawców. To maniactwo ułatwia związek małżeński jego córki z jakimś młodzieńcem, przybyłym ze świata większego, gdyż ojciec jest ucieszony, że będzie miał postacie z życia do komedyi. Trochę dowcipu, opartego na nieporozumieniach, trochę na grze słów i przygodach naciąganych a obliczonych na komizm sceniczny i oklaski paradyzu — to jest okrasa utworu. Szkoda tylko, iż autor zapomniał o niezmiernie ważnym warunku: że nieprawdopodobieństwa nawet w farsach nie uchodzą.

Franciszek Domnik. *Dzieci muzy*, komedya w 1 akcie.

Autor wyprowadza na widownię garstkę artystów-malarzy i rzeźbiarzy, wiecznie głodnych i zziębniętych na poddaszu. Płótno w kieszeni nie pobudza do twórczości, ale przy zbiegu zdarzeń pomaga do wybrnięcia z chwilowej biedy, dzięki naiwności jakiegoś szlachcica, który daje się przekonać, że namalowana Ofelia jest św. Barbarą i kupuje obraz do kościoła. Typ rolnika ograniczonego co najmniej setki razy w ramotach kalendarzowych powtórzony. Bogaty ożenek ratuje z biedy bohatera komedyi. Cała treść banalna, pojedyncze sceny miejscami nie są pozbawione humoru.

Erazm Majewski. *Słownik nazwisk* zoologicznych i botanicznych polskich, zawierających ludowe oraz naukowe nazwy i synonimy polskie, używane dla zwierząt i roślin od XV wieku aż do chwili obecnej, źródłowo zebrane i zestawione z synonimami naukowymi łacińskimi, w podwójnym porządku alfabetycznym i pomnożone porównawczym materyałem, zaczerpniętym z innych języków słowiańskich. Tomu pierwszego jest to już zeszyt trzynasty, zawierający koniec W, X, Y i Z.

Strzecha rodzinna, kalendarz na rok 1894. Treść literacka (proza i poezya) tudzież rysunki przeważnie w duchu religijnym. Dział o rolnictwie zawiera wskazówki, dotyczące najtańszego nawozu (przez St. Rewieńskiego), „Rady dla rodziców“ dotyczą terminowania u rzemieślników (nap. A. Wiśniewski). Trochę o wychowaniu powiedział p. Zbig. Kamiński, o kasach wiejskich p. Grajnert, parę rysunków dał p. J. Maszyński. Poczya Pługa, Grajnerta i Jaśkowskiego. Kalendarz jest przeznaczony dla ludu.

p.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Konkurs architektoniczny, ogłoszony przez Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, zgromadził sporo prac w rozmaitych stylach. Między innemi są motywy swojskie. Pierwszą nagrodę rs. 600 przyznano p. Edwardowi Goldbergowi za projekt gmachu ratuszowego. Drugą rs. 300 otrzymał p. Franciszek Brauman za wykonane dotąd domy (jeden, na rogu Nowogrodzkiej i Kruczej, drugi na Szpitalnej). Trzecią rs. 200 otrzymał p. Stefan Szyller za projekt kościoła wiejskiego. Rozdano trzy listy pochwalne pp.: Tołwińskiemu, Mazurkiewiczowi i Nowickiemu. Oprócz nagrodzonych i odznaczonych, zwracają uwagę pomysły oryginalne, między innemi jeden stworzony na podstawie motywów budownictwa podhalan (W. Krzesiński).

— Nagrodę Schillera w Berlinie, najwyższe odznaczenie, wyróżniające najlepszą ze sztuk repertuaru współczesnego, przyznano sztuce Fulda *Talisman*.

— Wyszedł I-szy zeszyt wydawnictwa p. Leona Polaczka p. t. „Spis rodzin szlachty polskiej.“

— Malarze nasi, którzy rachując na kieszenie milliarderów amerykańskich, odstraszyli nabywców wysokiemi cenami na wystawie w Chicago, obecnie, po długim namyśle zgodzili się na sprzedaż swych utworów po cenach zniżonych, byleby prędzej rozwiązać przedsiębiorstwo, zbyt kosztowne, utrzymywane dotąd za Atlantykiem.

— W Petersburgu zaczął wychodzić tygodnik rolniczy i ekonomiczny p. t. *Chaziain*.

— W Petersburgu p. L. Dymsza, docent uniwersytetu miejscowego, miał w Towarzystwie prawniczem odczyt o ustroju politycznym stanu Massachoussets w Ameryce północnej. Autor opracował swą prelekcyę na podstawie spostrzeżeń osobistych.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 20 stycznia.

Żniwo śmierci: Michelet, Roscher, Gabelentz i „Ausland.“

Nie mogliśmy dotąd zamknąć rachunków strat i zysków, jakie w bilansie życia narodowego niemieckiego za rok 1893 zarejestrować należało, czynimy to dzisiaj. Michelet umarł! Dawno już rozsypano prochy ze sławy Roschera zebrano w urnę mogilną i zakopano w kurhanie niepamięci! Zastanówmy się chwilę nad temi dwoma nazwiskami, które oznaczają poniekąd inną od naszej epokę, inną kulturę, a przedewszystkiem różnych od nas oznaczają uczniów i czcicieli.

Z geniuszem ludzkim rzecz ma się tak, jak z owym słońcem w bajce, które rzucało wielki, cudacki cień, tak dziwny, że pozostawał na ziemi wtedy nawet, kiedy słońce już dawno zapadło w ocean snu. Gdy powstaje wielka szkoła, która często oznacza wielkiego człowieka i nic więcej— przyjmuje pod swoje skrzydła opiekuńcze mnóstwo, a zwykle najwięcej, jednostek takich, które same przez się ważą niewiele, a które w magicznem świetle jego sławy rosną do znaczenia cyfr poważnych. Z chwilą gdy geniusz-słońce ginie i one do równowagi fizycznej wrócić by winny, ale wtedy występuje w roli czynnej ów cień, o którym była mowa wyżej — skromni kompilatorzy, mózgi przerabiające, ludzie o szeroko rozwiniętych organach siedzenia, o długim spokojnym oddechu — jaśnieją na horyzoncie nauki, jako gwiazdy drugorzędne, ale zawsze świecą. Nie należy jednak zapominać końca bajki: zjawia się wreszcie czarodziej, który straszny, dręczący cień ludzki zamyka w niewielkiej

butelce; rozpoczyna się panowanie innych systemów, innych metod, albo — nauki wogóle i — koniec bajki. Mieszkał ongi na Olimpie niemieckim Hegel, który w oczach współczesnego świata był słońcem, był szkołą, który miał uczniów tysiące, a śród nich takich, którzy z rąk jego odebrali kij i namaszczenie apostolskie — wielu. Byli między nimi tacy, którzy jak Edward Gans zdziałali wiele, ponieważ pracowali w dziedzinach specyalnych i tutaj rozwojowe prawo mistrza stosować mogli realnie, zrzadka tylko powołując zabójczą metafizykę do życia i władzy. Był między nimi i Karol Ludwik Michelet, który faktycznie umarł niedawno, przed miesiącem zaledwie, ale który był już martwym wtedy, gdy nas może jeszcze na świecie nie było.

Żył bardzo długo — 93 lata — a ponieważ pisać zaczął wcześnie, już w r. 1826 wydał pracę o „Etyce Arystotelesa,“ a pisać przestał w r. 1884, ponieważ zaś rzeźkość umysłu zachował aż do śmierci samej, więc nic dziwnego, że katalog jego utworów jest znaczny. Jest śród nich naturalnie „System filozofii, jako umiejętności ścisłej,“ w pięciu tomach, obejmujący logikę, filozofię przyrody, ducha, historyi. Przystępując przed piętnastu laty do wydania zbiorowego pism swoich, zapowiadał 30 tomów: prócz wymienionych wyszła jeszcze, jako ostatnia wogóle i z wielu względów ciekawa autobiografia; reszty należy szukać w bibliografii. Są tam jednak tytuły ciekawe, że zacytuję jeden tylko „Uzewnętrznianie się wiecznej jaźni ducha“ w trzech dyalogach, z których pierwszy przedstawia jaźń absolutu, drugi — Chrystusa, trzeci — przyszłość ludzkości. Są to wszystko rzeczy już dawno zapomniane. W autobiografii, którą nazwał „prawdą o swem życiu“ roztacza Michelet aż do drobiazgów wykończony obraz swego żywota; snuje tę długą, prawie że zawsze i ciągle jednostajnie szarą przędzę profesora niemieckiego, z której wytwarzają się od czasu do czasu wzory, nie zawsze te same, ale powtarzające się tak często, że nużą i nudzą. Zawiera przytem ta książka (548 str.) niektóre ciekawe szczegóły, które zaznaczyć zaledwie możemy, a które nadają jej niekiedy cechy utworu beletrystycznego: jest to widok niewielkiego, głuchego świata wraz z wszystkimi rozwijającymi się tam drobnymi interesami, namiętnościami, ambicyami, wraz z walką o liczbę słuchaczów (5 marek godzina tygodniowo za semestr), z całą szarzyzną domowych oszczędności, smutków i radości. Ale zawiera także kilka ustępów jaśniejszych: epizod z roku 48-go, sprawa Micheleta w sądzie o przestępstwo prasowe. Dlatego też, gdy odkładamy ją na bok, pozostaje nam obok wszystkich śmiesznostek pewne uczucie, które jest właściwie współczuciem. Michelet był „człowiekiem nieznanym“; a przytem był szczerze nielubiany przez władze; podejrzywano zawsze jego niemiecki patryotyzm, który nie licował z francuskim nazwiskiem; nie chciano się poznać na jego skromnym liberalizmie filozofa łączącego wszystkie kierunki. I z tego właśnie „nieuznania“ wypływa sympatya, jaką żywimy dla niego. I „nieuznani,“ zapoznani należą także do owej wielkiej rodziny „wzgardzonych,“ „odstępców“ — tylko w stosunku i porównaniu do nich grają rolę bierną więcej, niż czynną. Gdy więc dla drugich w perspektywie historycznej przyszłych czasów znajduje ludzkość nietylko uznanie, ale i ubóstwianie — może znajdzie dla pierwszych niedrogą łzę współczucia.

Tajny radca Roscher w długim, błogosławionym swym wieku pisał wiele, wielu uczonych akademij i towarzystw był członkiem, cieszył się uznaniem świata całego, uczniów porozrzucał na wszystkie strony, aczkolwiek więcej miał ich po za granicami swego kraju, aniżeli u siebie w domu. Czemże on był w istocie? Umysłem twórczym nie był zupełnie; umiejętności, nad którą pracował (1843—1893), nie wzbogacił ani jedną prawdą, ani jednym pomysłem oryginalnym. Metody nie wprowadził nowej, ale rączej, jak to sam zaznacza jeszcze w r. 1843, „chce do gospodarstwa państwowego stosować to, co Savigny i Eichhorn stosowali do nauki prawa.“ Nazywa on tę metodę „historyczną albo fizyologiczną.“ W gruncie rzeczy jest to filolog klasyczny, dziejopis „starożytności“ (w znaczeniu antykwarskiem), najlepiej— bibliograf. Z tego punktu widzenia posiada głębokie znaczenie dla tych, którym bogactwo cytat zastąpić może ubóstwo treści, a przedewszystkiem dla prac takich, gdzie chodzi o ogeny tytułów, których się nie widziało, a tem mniej czytało. Pozostanie jeszcze długo niewyczerpaną skarbnicą bibliograficznej ścisłości, w której czerpać będą kandydaci do wszelakich posad uniwersyteckich — tutaj i gdzieindziej. Dla tych zalet i co więcej jeszcze dla wygodnego, pożądanego stanowiska politycznego i społecznego „System ekonomii“ Rochera (której i my posiadamy tomów kilka w tłomaczeniu), przeznaczony dla *Geschäftsmänner und Studierende*, doczekał się dwudziestu wydań. Nie świadczy to jednak o jego wartości. Przeciwnie, kilka prac historycznych— o Tucydydesie, albo o „Żydach wieków średnich,“ o „Polityce“ (tutaj rozpatruje w zarysie historycznym rozwój monarchii, rzeczpospolitej i cezaryzmu) zostanie po nim jako dorobek trwały, jako spadek po filologu, który rozminął się ze swem powołaniem. Raz jeszcze zaznaczyć bowiem należy, że był to umysł zupełnie nie „ekonomiczny,“ najzupełniej nie filozoficzny, nie metodyczny, historyczny raczej w duchu najskrajniejszego konserwatyzmu.

Niewiele można tutaj powiedzieć o trzecim z rzędu w trójlistku nekrologii dzisiejszej. Jerzy von der Gabelentz lwią część swej pracy i zasług należał do dziedzin takich, któremi łany nasze zajmować się nie mogą. Był podobno jednym z największych dzisiaj znawców literatury chińskiej. Na uniwersytecie berlińskim wykładał gramatykę chińską, ale oddany specyalności, nie tracił z oka całokształtu filologii i na kilka lat przed śmiercią wydał bardzo dobrze napisaną pracę „O umiejętności języka,“ którą i zwykły śmiertelnik przeczytać może z korzyścią i przyjemnością. Zaznaczmy także bardzo sympatycznie skreślony wizerunek Konfucyusza (1888 r.), w którym przytoczył kilka niepowtórzonych dotychczas w popularnych wydawnictwach tej treści prawd etycznych mędrca chińskiego.

Ażeby nie wychodzić już z roli żałobnej, dopełnimy naszą kronikę jeszcze jedną wiadomością. Wychodziło w Sztutgarcie pismo, poświęcone etnografii, i u nas czytelników liczące, *Ausland*. W ostatnich latach znany podróżnik amerykański, Steinen, objął redakcyę i starał się nadać wydawnictwu charakter bardziej naukowy, poważny, źródłowy. Powtórzyła się zwykła tragi-komedya. Im treść stawała się poważniejszą, im bardziej zyskiwało sobie pismo sympatyę uczonych, tem szeregi czytelników stawały się rzadsze. Skarżono się na długie artykuły, na treść niekiedy nienadającą się do drobnomieszczańskiego salonu i garnituru kłamstw konwencyonalnych, które stanowią dogmat wychowania dzieci. I cóż? Rozpoczęła się walka idei z wolą wydawcy, gdzie poledz musiał oczywiście słabszy — uczony. I oto zostało trochę wspomnień, więcej rozczarowań, więcej złości. Zwyczajnie kawał życia ludzkiego.

Zen. Por.

LIBERUM VETO.

Wspomnienie. — Szczególna deklamacya i pouczający zachwyt. — Złudzenia naszego rozumu i skromne wymagania jasności. — Pojmujący, którzy nie pojmują,— Kilka próbek. — Baudelaire. — Utalentowany pacyent. — Wytwór niezdrowego czasu — Trumna i stary buduar.

Wojna literacka, którą przed 20 kilku laty podjęliśmy w prasie warszawskiej, była również zwrócona przeciw bezsensownym wierszydłom, rozpierającym się bezkarnie w szpaltach pism peryodycznych. Naturalnie główną w niej bronią była satyra, która otworzyła źródło dość obfitego humoru. Śmieliśmy się z napuszonych rymów w artykułach, śmieliśmy się w rozmowach towarzyskich. Temu nastrojowi młodość zaczęła podsuwać figle. Razu też pewnego ułożyłem wierszyk p. t. „Burza,“ który był tkaniną bardzo błyskotliwych słów, zdziergniętych niemal mechanicznie, bo tylko prawidłowością gramatyczną i niewyrażających żadnej treści. Ponieważ wierzyliśmy, że nawet t. zw. ludzie ukształceni łapią się często na takie złote plewy, więc J. Kotarbiński zadeklamował ową dźwięczną brednię w pewnem towarzystwie. Pomimo naszej wiary byliśmy trochę zaniepokojeni zuchwałością tej próby. Jakież było nasze zdumienie, gdy nietylko wszyscy słuchacze objawili zachwyt, ale jeden z nich, wychowaniec uniwersytetu, człowiek niewątpliwie rozumny, prosił Kotarbińskiego o odpis wierszyka, który mu się nadzwyczajnie podobał. Mało mam wspomnień z młodości, któreby mi tak często przypominały się w życiu późniejszem, niż ten wypadek. Poznając ludzi, coraz bardziej dziwiłem się, na jak nikłej podstawie oparte są ich przekonania, sądy, zachwyty i jak niewiele potrzebują oni jasności. Czy to skutkiem tego, że nas otaczają wokoło nieprzeniknione mroki tajemnic, które zmuszają do zadawalania się pół-myślami, półświadomością, pół-prawdą, pół-wiedzą, gdyż inaczej nie mielibyśmy żadnej myśli, żadnej świadomości, żadnej prawdy, żadnej wiedzy; czy też skutkiem bardzo słabych wymagań naszego umysłu, wystarczają nam mgły, cienie, widma, zamiast rzeczy. Przypatrzmy się uważnie najbliższemu widokowi. Oto żyje para małżeńska — jak sama twierdzi i jak wszyscy mniemają — w miłości. Tymczasem jeżeli dokładnie zanalizujemy jej uczucia, dostrzeżemy nieraz, że ci ludzie albo się nienawidzą, albo są dla siebie obojętni, albo ulegają wzajemnemu nałogowi. Żadne z nich drugiego nie kocha, a jednakże oni sami i ich znajomi są przekonani, że to stadło zrosło się najsilniejszem przywiązaniem. Ktoś inny przeczytał książkę i jest olśniony jej mądrością. Jeśli go zaczniesz egzaminować z uwielbienia, przekonasz się, że on albo jej nie zrozumiał, albo tylko przyswoił sobie półsenne myśli autora, których wcale nie zdołał obudzić. Weźmy jeden z tych paradoksów, które tysiącami obiegają głowy i usta ludzkie, nie tracąc wartości i zamknijmy się z nim w sobie na godzinę — z pewnością z rozmyślań nad nim pozostanie taka kropla, jak po bańce mydlanej. Wszyscy uznajemy starą maksymę: „nic nowego pod słońcem,“ w której ma tkwić głębokie spostrzeżenie. A przecie nie potrzeba być filozofem, ażeby wykazać, że jest to wierutna nieprawda, gdyż w rozwoju świata, stwarzającym coraz inne warunki i kombinacye, żaden fakt ściśle powtórzyć się nie może, a zatem należałoby raczej mówić: „nic starego pod słońcem.“

Zwłaszcza zaś zdania i utwory, działające na uczucia, potrzebują bardzo mało liczyć się z jasnością, prawdą i rozumem.

Znam pewnego zdolnego pisarza, który z całej poezyi polskiej najwięcej ceni „Króla ducha“ Słowackiego. Jeżeli on go rozumie, jeżeli go rozumie ktokolwiek, nie wyłączając autora, to nieskończoność jest pojęciem dostępnem dla pierwszego lepszego kupczyka. Mniejsza o prawdę, zawartą w jakiemś wyrzeczeniu lub utworze; ta wiecznie zasłonięta bogini skazała nas na domyślanie się jej istotnego oblicza i nie nasza wina, jeśli go nie odgadujemy. Ale na co stać człowieka, to na jasne pojmowanie. Wygląda to na paradoks, a jest niewątpliwie faktem, że znaczna większość ludzi nie rozumie tego, co mówi lub słyszy. Im się zdaje, że gdy powiedzą: „myśl jest sekrecyą mózgu,“ albo: „sen jest skutkiem działania kwasu mlecznego,“ albo (i tak się zdarza!): „apercepcya krystalizacyi jest kongruencyą wibracyi“ — coś wyrazili; a tymczasem są to puste frazesy, w których tkwi albo jakieś niedokładne wyobrażenie, albo poprostu bezsens. Rzecz szczególna, jakkolwiek przyznanie się do niezrozumienia czegoś powinnoby świadczyć o bystrości umysłu, ludzie wolą połknąć ze smakiem porcyę bredni, niż wyznać, że nie zażyją jednej. Przeczytajmy razem następujący wiersz:

Heautontimorumenos.

Bez nienawiści i bezgniewny,
Jak rzeźnik będę niósł ci razy,
Jak Mojżesz, gdy bił w skalne głazy!
Aż łez cierpienia zdrój ulewny,
Aby orzeźwić mą pustynię,
Z pod powiek twoich się wyleje.
Żądza ma gnana przez nadzieję
Na słonych twoich łzach popłynie,
Jak chyża łódź po morskim szlaku,
Brzmieć będą drogie łkania twoje.
Jak bęben, gdy gra do ataku — itd.

Pomówmy z sobą szczerze: czy rozumiecie ten wiersz? Przypuszczam, że nie. Naprzód jego tytuł wydaje wam się dzikim i zagadkowym. Następnie, trudno zgadnąć, kto to jest on, niby „rzeźnik,“ niby „Mojżesz.“ Dalej, czy wyobrażacie sobie „żądzę,“ płynącą po „słonych łzach,“ jak łódź po morzu, oraz serce „ukojone,“ w którem „drogie łkania“ brzmią jak „bęben, gdy gra do ataku“? Co do mnie, to pierwszej zwrotki wcale nie pojmuję, a dwie ostatnie nie dają mi żadnego obrazu.

Przeczytajmy inną kartę:

Rembrandt—pełen stłumionych gwarów szpital smutny,
Gdzie tylko krzyż wyciąga ramiona olbrzymie,
Gdzie się z trudów modlitwa i płacz rwie pokutny
I czarem znagła przemknie błysk słaby, jak w zimie.

A to rozumiecie? Ja — nie. Gdyby nie pierwszy wyraz, ani bym się domyślił, o kim i o czem tu mowa.

Jeszcze jedna próba:

Nieszczęście.

By tak ciężki unieść głaz,
Syzyfowe trza mieć siły;
Choć mi trudno pot jest miły—
Sztuka długa—krótki czas.
Wdal od sławnych mogił, wdal
Idzie w pusty szlak cmentarny
Serce me jak bęben gwarny,
Grzmiąc ponurych marszów żal.
Skarb niejeden pogrzebany
Śpi w ciemności zapomnianej
W głębi—zdala od łopaty!
Z żalem rozlewają kwiaty
Swą—jak tajnia—słodką woń
Na samotnych głębi toń!

Czy to rozumiecie? Ja — nie.

Może niejeden z czytelników przypuszcza, że z kosza redakcyjnego wydobyłem rymy początkującego poety dla poparcia moich uwag. Bynajmniej, ich autorem jest pisarz, który według W. Hugo „stworzył nowy dreszcz,“ według Bourgeta „wyobraża najwyższy szczyt rozwoju sztuki,“ a według Gautiera „stoi zawsze na ostatecznej granicy myślenia“ — słynny, wielki, uwielbiany ojciec dekadentów — Baudelaire, którego *Kwiaty grzechu* wyszły świeżo w przekładzie polskim. Jestem przekonany, że gdyby ktoś przesłał roztropnej redakcyi jeden z tych utworów pod nieznanem nazwiskiem, otrzymałby odpowiedź: Nie rozumiemy, czego pan chcesz od swojej muzy.

Nie wszystkie wiersze, zawarte w zbiorku, są tej wartości, owszem, znajdują się między nimi bardzo ładne; niektóre ucierpiały w tłomaczeniu — to prawda; ale niech rozważny i rzetelny umysł, poznawszy je, objaśni nas, czego poeta żąda od życia i dlaczego cierpi? Bo nie dosyć stanąć przed światem w teatralnej pozie i krzyczeć lub jęczeć: cierpię, cierpię, cierpię! Trzeba wskazać przyczynę bólu i to taką, którąby on uznał za poważną. Pojmujemy cierpienie Edypa, Don Kiszota, Leara, ale nie pojmujemy tej rozpaczy, podartej na drobne szmaty, z których każdy powiewa jako czarny sztandar nad kilkuzgłoskowym wierszykiem mglistej treści. Baudelaire pisze:

Dyabeł to trzyma nici, co kierują nami,
Na rzeczy wstrętne patrzym sympatycznym okiem,
Codzień do piekieł jednym zbliżając się krokiem
Przez ciemność, która cuchnie i na wieki plami.

Ponieważ przytem naokoło otaczają nas: „szakale, pantery, smoki, małpy, skorpiony, żmije, nietoperze,“ więc chyba najbledszy promyk szczęścia nie miga na tej drodze do piekła, śród tej „menażeryi“? Gdzie tam! Woń warkocza kochanki, zapach jej ciała, całusy, pieszczoty — a nawet nie potrzeba tak wiele. Szczęśliwy—powiada B.—

Kto jak skowronek myślą w lazury
Wylata rankiem pełen swobody.
Kto zdola spojrzeć na życie z góry,
Pojąć szept kwiatu, mowę przyrody!

Więc cóż przeszkadza do szczęścia?

Zastrzegam się przeciw posądzeniu, jakobym Baudelaire'owi lub jego uczniom i naśladowcom odmawiał talentu i szczerości w spowiedziach duszy. Nie, oni mają talent, rzeczywiście cierpią, tylko ani sami siebie, ani czytelnicy ich nie rozumieją, podczas gdy jednym i drugim zdaje się, że rozumieją się wybornie. Czas nasz jest epoką nadmiernego wyczulenia się i potargania nerwów, powszechnej psychozy, której zdrowia nie daje ani obciążone dziedzicznością i nadużyciami ciało, ani nasiąkła miazmatami atmosfera duchowa. Jesteśmy wynaturzeni, zwyrodniali i chorzy, ciepło naszych umysłów nie jest ciepłem ożywczego ognia, lecz gnicia. Rozkładające się dusze wytwarzają gorąco, które my bierzemy za żar słońca nowych prawd. Dusze te istotnie cierpią, ale nie od ran, których wcale nie widzimy, tylko od niemocy i rozstroju. Osłabione orły, wzleciawszy ku górze, spadają natychmiast na ziemię lub tłuką się w klatkach z wyłamanemi skrzydłami, rozgoryczono, gniewne, bezwładne. Baudelaire to nie mistrz jakiejkolwiek szkoły, to talent chory, w którym maligna zlewa się z połyskami geniuszu. To nie natchniony wieszcz, ale pacyent, uwydatniający doskonale chorobę wieku. Nie należy go podziwiać, lecz analizować. Postawiony na ołtarzu sztuki, jest dziwacznym, śmiesznym i w znacznej części niezrozumiałym; położony na stole sekcyjnym jest okazem wysokiej wartości. Czytając jego pisma z wiarą, ulegamy złudzeniu, że go pojmujemy i wiemy, dlaczego świat przeklina; zbadawszy je jako dokument epoki, widzimy, skąd pochodzi jego cierpienie. Jak Maupassant, Nietzsche, Lorm i tylu innych był psychopatą—wielce utalentowanym. Wielkim uczyniła go nasza naiwność, która zadawala się najbardziej pustym dźwiękiem, która najuroczyściej zapewnia, że coś rozumie wtedy, kiedy nic nie rozumie. Dość gdy kto przed nami zrobi tragiczną minę, wyrzuci z ust strumień słów pękających hucznie i błyskotliwie jak race, podniesie pięść ku niebu i plunie na ziemię — ażebyśmy natychmiast zawołali: oto zbawiciel myśli naszej! A przecież on sam powiada:

Moja dusza — to trumna, kędy, mnich nikczemny,
Przybywam od wieczności jak noc ciemna—ciemnej
Żaden obraz w ohydnym tym nie lśni klasztorze.

. . . .

Jam jest stary buduar, pełny róż zwiędniętych,
Gratów pełny niemodnych i sukien pomiętych.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Ze sprawozdań świeżo wydanego *Łodzianina*, kalendarza na r. 1894, zaczerpniemy kilka faktów, dotyczących wewnętrznego rozwoju tego miasta. Przedewszystkiem zasługują na uwagę związki zawodowe, które już zaznaczyły pewien ślad swej działalności. Dość czynne jest istniejące od r. 1885 Towarzystwo lekarskie, utworzone staraniem d-ra Józefa Kolińskiego. Cele i pragnienia jego czynności polegają na badaniu m. Łodzi i okolic pod względem zdrowotnym, warunków, wpływających na rozwój i trwanie różnych chorób. Przeciwdziałanie czynnikom szkodliwym, zbieranie materyałów statystycznych, rozpowszechnianie prawidłowego szczepienia ospy, wzajemne udzielanie różnych spostrzeżeń praktycznych o przebiegu i charakterze chorób panujących i najskuteczniejszych metodach ich leczenia, o nowych odkryciach i wynalazkach w dziedzinie nauk lekarskich i przyrodniczych itd.; wreszcie „osobiste, ściślejsze zbliżenie się członków dla utrzymania przykładnej zgody i wspólnego działania dla dobra nauki i zdrowia społecznego.“ Taka zbiorowa praca daje podwójną rękojmię jej skuteczności. 1-o Lekarze nie zaśniedzieją w wiedzy nabytej na uniwersytecie, lecz mogą śledzić wszelkie jej postępy, wzajemnie dopomagać w przyswajaniu nowych zdobyczy i czynienia prób praktycznych; 2-o ogół chorych zyskuje na sprawności i wartości pomocy. Stowarzyszenie wydało sporo już pożytecznych owoców i w szeregu innych tego rodzaju instytucyi prowincyonalnych zajęło najwybitniejsze miejsce. Szwankuje atoli jeszcze w najważniejszych czynnikach rozwoju, tj. w środkach materyalnych. Jedynem źródłem w tym względzie są składki członków. „Protektorowie“ nie czują się w obowiązku składania ofiar, a najzwyklejsza w takich razach i najpoważniejsza droga — odczyty publiczne, nie jest dotąd wypróbowana.

Drugą grupę inteligencyi miejscowej stanowi związek techników i inżenierów, jako sekcya oddziału Tow. pop. rus. przemysłu i handlu. Powstała ona przed trzema laty staraniem inżeniera-chemika, p. Bilewicza dotąd wszakże nie przyciągnęła wszystkich fachowców tej gałęzi i nie wyrobiła w nich potrzeby łączności. W r. 1891 liczyła ona tylko 35 członków. W roku następnym cyfra ta zmniejszyła się do 24, w ostatnich zaś czasach przybyło znowu kilkunastu. Obok spraw bieżących, najwybitniejszą częścią programu są odczyty w zakresie ściśle teoretycznym i na gruncie potrzeb praktycznych. Między innemi stamtąd wyszła sprawa zorganizowania popularnych wykładów dla palaczów, które będą miały na celu zapobieganie wypadkom i—oszczędność w paliwie. W ostatnich czasach sekcya opracowała program specyalnego wydawnictwa, na wzór popularnych za granicą informatorów technicznych. Obejmie ono wszystkie ważniejsze działy przemysłu, ze szczególnem uwzględnieniem wytwórczości łódzkiej. Nadto, oprócz działu informacyjnego, zawierać bę-

dzie wskazówki teoretyczne dla majstrów i praktykantów.

Trzecia grupa, Stowarzyszenie wzajemnej pomocy pracowników handlowych istnieje również zaledwie od lat paru (od r. 1886). Zrazu borykało się ono z obojętnością tych, dla których przeznaczone było; dopiero w ostatnich czasach wyrobiło szersze uznanie i poparcie. Zadaniem związku jest udzielanie członkom i ich rodzinom wsparć pieniężnych, w postaci pożyczek lub zapomóg bezzwrotnych, wyszukiwanie posad stowarzyszonym, udzielanie pomocy lekarskiej w razie choroby, dostarczanie środków na wychowanie i kształcenie sierot po zmarłych członkach rzeczywistych. Według ostatniego sprawozdania, liczba uczestników wynosiła: 478 członków rzeczywistych i 191 protektorów (w tej liczbie 8 miu z głosem doradczym i 20-tu lekarzy). Od roku zarząd składa się wyłącznie z pracowników kantorowych, którzy znając braki swych towarzyszów, starają się je zapełniać wedle możności. W ostatnich czasach działalność zaznaczyła się dość wielką ruchliwością. Wprowadzono ubezpieczenie na życie, stworzono gimnastykę, wreszcie potrzeby towarzyskie (śpiewy chóralne itp.) znalazły tam swe ognisko. Ale to za mało; najwięcej bowiem pozostawia do życzenia najważniejszy szczegół programu: wyszukiwanie posad. Podobno główną przyczyną ospałości biura informacyjnego jest słabe zainteresowanie się niem ogółu stowarzyszonych; przytem nie zdołało ono jeszcze wyrobić sobie takiego znaczenia, aby firmy handlowe uważały za obowiązek zwracać się do niego. Wiadomości zdobywane są przypadkowo. Ale pomimo tych trudności, rozwój chociaż słaby, jest jednak widoczny. W roku 1891 udzielono posad 18, w następnym 68, w ciągu zaś siedmiu miesięcy roku zeszłego — 40. Dowodzić żywotności tego stowarzyszenia byłoby zbytecznem; że zaś biuro informacyjne nie zdobyło sobie jeszcze powagi dostatecznej, przypisujemy to w znacznej mierze wielkiemu napływowi do Łodzi poszukiwaczy pracy, w których prawie codzień zwierzchnicy mogą przebierać bez trudu, kandydaci bowiem sami napraszają się gwałtem. Dopóki więc pracownicy nie ocenią doniosłości organizacyi pośredniczej i nie będą działać solidarnie, póty ich instytucya musi iść opornie. O innych ogniskach życia społecznego w Łodzi pomówimy w dalszym ciągu.

Dr.

Piotrkow. Wznowiony projekt założenia Towarzystwa kredytowego miejskiego budzi ogólne zajęcie. Jeszcze przed sześciu laty czyniono starania w tym względzie, ale wówczas ministeryum radziło zaczekać aż do chwili ujawnienia się rozwoju takich instytucyj w innych miejscowościach Królestwa. Ponieważ obecnie stwierdzono, iż towarzystwa owe rozwijają się pomyślnie w Kaliszu, Płocku i Lublinie, więc na tej podstawie rozpoczęto nowe zabiegi. — Według zapewnień *Tygodnia*, miejscowe warsztaty tkackie mają powodzenie. „Wogóle — pisze ten organ — zapanowała jakaś lepsza wiara w przyszłość naszego grodu; ale też podrożały i domy, na które popyt wzmagać się zaczyna, gdy tymczasem przed dwoma jeszcze laty, szukając nawet ze świecą, nie znalazłby kupca na kamienicę w Piotrkowie."

Odesa. Rok ubiegły dla żeglugi na morzu Czarnem był pomyślny. Nie zdarzył się ani jeden „większy" wypadek rozbicia. Dopiero w ostatnich tygodniach zginął bez wieści jeden statek grecki, który odpłynął z Krymu. Żegluga trwała niezwykle długo; statki wypływały jeszcze w połowie grudnia. Za to obecnie port jest zamarznięty na znacznej przestrzeni. W ciągu ostatnich lat pięciu powstała na morzu Czarnem specyalna flotyla do przewozu węgla, złożona z 11 parostatków, mogących zabierać odrazu 875,000 pudów ładunku. Liczebny wzrost parowych podważał powodzenie statków żaglowych, które jeszcze przed paru laty miały przewagę na morzu. Para odebrała im węgiel i sól, dwa najważniejsze przedmioty. — Według ostatnich dwu spisów jednodniowych, Odesa w roku 1873 liczyła 193,513 mieszkańców, w roku zaś 1892 wzrosła do 336,112, czyli w ciągu lat 19 ludność prawie się podwoiła.

SPRAWY EKONOMICZNE

KONWERSYA FRANCUSKA.

Zdaniem naszem, ani olbrzymie znaczenie dla kapitału długów państwowych nie zostało jeszcze należycie ocenione przez ekonomię polityczną, ani tem bardziej wyzysk skarbu publicznego przez żądnych zysku rentyerów nie doczekał się głębokiej krytyki. Bynajmniej przez to nie chcemy powiedzieć, aby nauka gospodarstwa narodowego nie zajmowała się wiele kwestyą długu państwowego. Wiemy, że istnieją w tym przedmiocie ogromnych rozmiarów dzieła, z których zbioru możnaby ułożyć wcale pokaźną bibliotekę. Ale „wiele" nie znaczy jeszcze „wszystko." Można bardzo dużo o czemś mówić, a jednak pominąć milczeniem szczegóły najważniejsze. W takiem właśnie położeniu znajduje się ekonomia polityczna względem sprawy obecnie nas obchodzącej. Naukę tę uprawiają jej przedstawiciele ze stanowiska kapitału, wyzysk skarbu państwowego przez rentyerów uważają za rzecz tak naturalną, jak zachód i wschód słońca. Wszelki pożyczony pieniądz winien rodzić podobne sobie istoty odsetkowe, wierzyciel ma obowiązek moralny wydusić na dłużniku jak największe procenty. Tak brzmią założenia teoretyczne ekonomistów. A skoro raz zostaną uznane, wtedy wywody też brzmieć muszą odpowiednio: nie państwo tuczy kapitalistów i wysycha samo pod działaniem tych pijawek, lecz przeciwnie, kapiliści są dobroczyńcami!

Bez ogródki ośmielam się wyrzec zdanie, że gdyby instytucya tego rodzaju, jaką są długi państwowe, nie istniała, tedy kapitał wynalazłby ją sam i tą lub inną drogą usiłowałby narzucić państwu. Przedewszystkiem hypoteka państwowa jest najlepszą ze wszystkich. Wprawdzie, jak okazały wypadki w Portugalii lub Grecyi i jak zaświadczą o tem w niedalekiej przyszłości Włochy, ona też może zawieść pokładaną w niej ufność, ale w porównaniu z huraganami, które wstrząsają hypoteką prywatną, wypadki te są tak rzadkie, tak wcześnie dadzą się przewidzieć, że wreszcie nawet w najgorszym razie kapitał nie ginie i jedynie uiszczanie procentów ulega zwłoce. Najcharakterystyczniejszą w całej tej sprawie jest ta okoliczność, że kapitalista, lubo pożyczył skarbowi państwowemu pieniądze i pobiera od nich porządne odsetki, przecież w gruncie rzeczy ów wypożyczony kapitał spoczywa wciąż w jego ręku i czeka jego rozkazów. Rentyer bowiem posiada papiery, przedstawiające niby rodzaj wekslu, ofiarowanego w zamian za gotówkę przez państwo. Papiery owe mają zawsze powagę na giełdzie i kapitalista, ilekroć dostrzeże jakieś zyskowniejsze przedsiębiorstwo, natychmiast znajdzie kundmanów na swoje wartości. Starożytni ekonomiści dziwili się, że pieniądz pożyczony, niby kobieta, wydaje potomstwo. Doba nowoczesna powołała cud większy, bo pieniądze jednocześnie znajdują się na procencie, a jednak leżą w biurku wierzyciela. Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej kapitał, oddany skarbowi publicznemu, wyświadcza szczególne usługi bezpłatnie.

Kilka tych uwag nasunęło się nam z powodu zatwierdzenia przez Izbę francuską konwersyi renty państwowej. Chodzi tu o jedną z największych operacyj w dziejach finansowości — o konwersyę, która pod względem swoich rozmiarów ustępuje tylko angielskiej, dokonanej przez Goschena a wynoszącej 14,7 miliardów franków. Czynność zaś, do której przystępuje obecnie rząd francuski, obejmuje kwotę nieco więcej nad $6^{3}/_{4}$ miliardów franków, od której roczny procent wynosi $305\frac{1}{2}$ milionów franków. Jest to cyfra tak olbrzymia, że trudno ją ogarnąć. Każdy francuz bez różnicy płci i wieku musiałby na nią złożyć mniej więcej około 60 rs. na naszą monetę. Dług ten przynosi posiadaczom odpowiednich papierów $4\frac{1}{2}$%, skonwertowany będzie dawał tylko $3\frac{1}{2}$%, czyli budżet państwowy oszczędza na konwersyi około 68 mil. franków rocznie w rubryce wydatków, co jest wcale piękną sumką.

Warto poznać dzieje tej pożyczki. Może żadna nie unaocznia tak jaskrawo tej niezbitej prawdy, że klęski publiczne bywają istotną ucztą dla duszy rentyerskiej. Wogóle operacya zaciągania przez państwo pożyczki jest bardzo prostą. Bywa ona zwykle koniecznością, wywołaną przez nieurodzaje, potrzeby wojenne, ubóstwo kraju, które nie może zdobyć się na budowlę dróg komunikacyjnych. Zresztą nie idzie nam w tej chwili o przyczyny pożyczki; kto chce zaś zbogacić swoje głowy tego rodzaju jałowemi wiadomościami, odsyłamy go do podręczników ekonomii Bilińskiego lub Załęskiego. Niech nam tu wystarczy, że państwo zmuszone jest zaciągnąć pożyczkę, wypuszczając odpowiednie papiery. Możnowładcy finansowi wtedy przykładają mu nóż do gardła, stosownie do warunków rynku, potrzeby, w jakiej znajduje się skarb publiczny itd. Papiery są sprzedawane nie *al pari*, ale po kursie niższym — np. 80 za 100. Kiedy przyjdzie chwila spłaty, państwo musi ją uskutecznić według kursu nominalnego. Otóż pożyczka, ulegająca teraz konwersyi, została zaciągniętą przez Francyę w chwili takiego nieszczęścia, jakim był rok 1871. Wojska niemieckie zajmowały ziemię francuską, najechany kraj musiał wypłacić ogromną kontrybucyę wojenną pięciu miliardów franków. Rząd zwrócił się do społeczeństwa. Rozumie się, że zapukał nie do serc obywatelskich — rentyerzy nie są bowiem ludźmi sentymentalnymi, a ekonomia polityczna, ów katechizm robigroszowstwa, nie zna podobnych metod postępowania. Zwrócił się do żądzy zysków. Ukazał przed łaknącemi oczami rentyerów papier 5%-owy, oddawany po znacznie niższym kursie od swej nominalnej wartości. Naturalnie pokusa nie chybiła. Zewsząd sypnęły się rzesze drobnych i wielkich rentyerów, mieszczan i szlachty. Jakiś potomek sięgającego w daleką przeszłość drzewa rodowodowego wziął papierów wartościowych na kilka milionów franków, inny pono parę dziesiątków. Pożyczka została dokonana, a budżet obciążony szalonym rocznym wydatkiem. Rząd w kraju konstytucyjnym znalazł się w przykrem położeniu. Izba jest bowiem niejako komitetem interesu rentyerów i z trudnością zgadza się na kroki, przeciw nim wymierzone. Jej popularność jest wciąż na zmiennej łasce opinii publicznej, krok zaś taki, jak wszelka konwersya długu publicznego, odbierająca tysiącom drobnych episyerów pewną część dochodu, wywołuje powszechne oburzenie na osoby, które ważyły się tego dokonać. A zatem jakkolwiek rządowi było bardzo łatwo zaciągnąć pożyczkę wysoko oprocentowaną, natomiast jak po grudzie szło cofanie się z tego położenia i zmniejszanie ciężaru, spoczywającego na skarbcu publicznym. Odważył się jednak w r. 1883 dokonać

konwersyi. W obawie przed złym humorem wierzycieli poprzestał na przejściu od 5% do 4½%, a nadto złożył jeszcze uroczystą obietnicę, że przed upływem lat dziesięciu nie dokona dalszego „rabunku,“ jak samolubny rentyer, chrzci wszelką operacyę, która częściowo oswobadza rząd przed jego wyzyskiem. Że mimo dokonanej konwersyi okazał niepomierną pieczołowitość o interesy rentierów, o tem najlepiej świadczy następująca okoliczność. Skonwertowana w r. 1883 na 4½%-ową renta stała w roku następnym 108 franków za każde 100 nominalnej wartości, w ciągu zaś dwóch lat następnych podniosła się na 110, jakkolwiek nad nią wisiała groźba zapowiedzianej dalszej konwersyi. Dopiero w r. 1880, kiedy obiecany nowy dzień sądu stawał się bliższym, zaczęła ona spadać w kursie. W przededniu uchwały Izby była jeszcze notowana według stopy 105, chociaż kapitał przeczuwał, że lada dzień katastrofa może wybuchnąć nad jego głową. Kurs ów chyba najlepiej świadczy o tem, że dokonanie konwersyi 4%-owej uwzględniło poważnie interesy rentującego kapitału. A cóż to byłoby, gdyby nie zawieszono owej groźby konwersyi?! Wreszcie dzień ów straszny nastąpił. Konwersya 4½% długu z obietnicy słownej stała się realnem ciałem. Przypatrzmy się jej warunkom. Państwowa renta 3%-owa ma kurs 98, tj. blizko *al pari*, składając tym swoim kursem wymowne świadectwo, że trzy procenty stały się we Francyi bieżącą normą odsetkową dla kapitałów, umieszczonych na dobrej hypotece. Gdyby nie grożąca konwersya, papiery 4½%-owe doszłyby 130, a nawet na 140 i wyżej! Dzienniki, broniące interesu kapitału, zaczęły dowodzić, że konwersya powinna być dokonaną według stopy 4%, najniżej zaś 3,8%. Ale w tym razie położenie finansowe skarbu publicznego byłoby zbyt fatalnem, ażeby pozwolono kapitałowi wypasać się tak na funduszach państwowych. Budżet francuski corocznie wykazuje znaczny niedobór, wynoszący około 200 mil. franków. To rozpaczliwe położenie sprawiło, że rząd przeprowadził konwersyę według stopy 3½%, a zatem niżej, aniżeli spodziewał się świat rentyerów, ufny, że sterownicy nawy państwowej zlękną się niepopularności. Wprawdzie konwersya posiada pewne uzupełnienie, łagodzące zajadliwość spokojnej zwykle, nawet arcyspokojnej rzeszy, póki nie idzie o dukaty. Mianowicie rząd złożył zobowiązanie, że przed upływem następnych lat ośmiu nie położy swojej świętokradzkiej ręki na uchwalonym poziomie procentów. Gdyby nie to niebezpieczeństwo, grożące za lat 8, renta 3½% wzrosłaby ze 105 na 114 za każde 100 nominalnej wartości. Ponieważ jednak ta obawa istnieje, przeto koła finansowe spodziewają się, że kurs nie podniesie się ponad 108. Cóż to znaczy? Oto że za dni kilka, może za kilka tygodni, rentyer, który do serca weźmie to czarne nieposłuszeństwo dla jego woli — wszak „lud“ jest we Francyi władcą najwyższym! — może sprzedać papier, posiadający dzisiaj 105 fr. wartości, za 108. I znowu te fakty pokazują, kto w konwersyi tuczy się i czyim uszczerbkiem.

Dotknęliśmy się długu państwowego, o ile było to w związku z dokonywaną obecnie konwersyą. Inne strony jego musieliśmy pominąć milczeniem, ażeby nie wybiegać z zakreślonego tematu. Ale ta krótka wycieczka do sfery finansów publicznych rzuca dostateczne światło na pobudki, które sprawiają, że ekonomia polityczna, jakkolwiek zapełnić zdoła całe biblioteki traktatami o tym przedmiocie, woli pozostawić bez wzmianki pewne drobne szczegóły.

J. Wojewódzki.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Przemysł skórzany w Królestwie. *Mosk. Wied.* poświęciły temu przedmiotowi obszerny artykuł: między innemi piszą: „Obuwie, rękawiczki warszawskie itp., sprzedawane są prawie wszędzie w większych, a nawet mniejszych miastach ruskich, dzięki zaś temu większość mniema, że w Królestwie Polskiem istnieją znaczne fabryki albo przynajmniej zakłady rzemieślnicze, wytwarzające na wywóz towary szewckie, rękawicznicze oraz galanteryjne. Nic podobnego niema.“ Autor sięga do źródeł urzędowych, na mocy których stara się dowieść, że Królestwo Polskie, a szczególnie gub. warszawska ma bardzo poważne znaczenie w produkcyi skór w obrębie państwa, ale ogranicza się ona wyłącznie do wytwarzania materyału surowego. Jedna gubernia warszawska dostarcza skór rocznie przeszło na 5,500,000 rs., a więc przewyższa gub. petersburską i moskiewską. Ogniskiem produkcyi garbarskiej w Królestwie właściwie są tylko dwie gubernie: wyżej wymieniona i radomska. Natomiast przemysł przetwórczy (szewcki, rękawiczniczy, galanteryjny) jest nieznaczny. Wyrobem obuwia, rękawiczek, siodlarstwa itd. zajmuje się w Rosyi ogółem 75 fabryk z roczną produkcyą 2,200,000 rs. (r. 1889); z tego na istniejące w Królestwie tylko dwie fabryki przypada zaledwie 13,000 rs., gdy na zakłady takie w jednej gubernii moskiewskiej — 1 milion rs. Natomiast Królestwo posiada znaczną liczbę drobnych zakładów rzemieślniczych, często cały warsztat składa się z 2—3 osób, członkowie jednej rodziny. „Gdzie pracuje dziesięciu uczniów i robotników z czeladnikiem po za rodziną rzemieślnika, tam już mówi się o zakładzie jako o fabryce na wielką skalę.“ Taki stan rzeczy, zdaniem autora, odbija się niekorzystnie na produkcyi i jej wartości. Biedak kupuje towar nie najlepszy, lecz najtańszy, a więc zawiązuje stosunki nie z hurtownikami, ale z drobnymi składnikami. Korespondent wspomina o zakładach poważniejszych, dających dobre wyroby, lecz bardzo drogie. O innym dziale mówi: „Produkcya rękawicznicza na nieszczęście upadła w Warszawie, do tego stopnia, że rękawiczki wojskowe sprowadzane są z Petersburga, dobre szwedzkie i glansowane z zagranicy, przyczem te ostatnie bywają nieraz tańsze od produkowanych na miejscu.“ Autor w ogólnych wywodach dość jest jednostronnym i widocznie rządzi się osobistem wrażeniem. Mówiąc o produkcyi szewckiej, zapewne ma na myśli tandetę nalewkowską, wysyłaną do Cesarstwa. Znane są bowiem fakty rzeczywiste, że nawet drobni a rzetelni majstrowie czerpią towar z pierwszorzędnych garbarni. Warszawskie zaś wyroby rękawicznicze powszechnie słyną z taniości i dobreci.

Birż. Wied. zaznaczają ważny szczegół, iż w praktyce podatku od mieszkań na samym wstępie kontrybuenci natrafiają na niewyjaśniony dotychczas punkt: jeżeli sam właściciel domu lub główny lokator odnajmują od siebie kilka pokojów współlokatorom, to jak należy pobierać podatek? Czy od ceny całego mieszkania, czy po odjęciu komornego od współlokatorów? Kontrybuenci bardziej się przychylają na stronę ostatniego rozwiązania, organy zaś miejscowe tłómaczą sobie daną kwestyę według pierwszej części pytania. Wyjaśnienie oczekiwane jest niecierpliwie.

— Ministeryum skarbu pozwoliło instytucyom Banku państwa przedłużyć wydawane na zastaw zboża pożyczki do 9 ciu miesięcy. Niektórzy interesowani proszą o przedłużenie aż do chwili sprzedania zbiorów przyszłych.

— Według wykazów urzędowych, zbiory oziminy w 50-ciu guberniach Rosyi europejskiej z lata ubiegłego przekroczyły normę średniego plonu; zboże jare dało nawet wynik pomyślniejszy. W Królestwie Polskiem jedno i drugie dało plon średni, miejscami dobry. Kartofle obrodziły pomyślnie prawie na całym obszarze państwa. Na r. 1894 w Cesarstwie, Królestwie i na Kaukazie północnym obsiano zbożem około 30,5 milionów dzies. tj. nieco więcej niż w r. z. (30,38 mil). Według danych z listopada, stan oziminy wszędzie jest bardzo zadawalający, szczególnie w strefie czarnoziemu i wielu powiatach gub. środkowych.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Wkłady pieniężne wniesione do instytucyi kredytowych przez rodziców na imię dzieci, mogą być odebrane tylko przez te ostatnie. W razie śmierci dziecka, na którego imię wnoszono pieniądze, cały kapitał zostaje bez właściciela, gdyż rodzice nie dziedziczą po śmierci dziecka. Ze względu, iż stan taki jest nienormalny, ministeryum skarbu doradza zmianę w ten sposób, aby rodzice, wnoszący wkłady na imię dzieci małoletnich, mogli odebrać je w każdym czasie. (*Peterb. Wied.*).

— Odwołano rozporządzenie władz pruskich, ograniczające wydawanie mieszkańcom pogranicznym w Prusach kart legitymacyjnych na przechodzenie granicy przez przykomórek dąbrowski, tudzież przepuszczanie poddanych ruskich do Prus.

— Zarząd Banku państwa ostrzega, iż urzędnicy, udzielający wiadomości z łona instytucyi osobom prywatnym, utracą natychmiast swoje posady.

— Inż. Jasiński opracował ustawę spółki spożywczej, która ma działać za rogatką wolską dla ochrony ludności robotniczej od wyzysku przekupniów.

Szkoły. Komisya pod przewodnictwem dyrektora departamentu lekarskiego zajmuje się opracowywaniem ustawy normalnej dla szkół kucharskich.

— W warszawskiej szkole muzycznej z dn. 1 lutego rozpoczyna się drugie półrocze. Program: 1) nauka śpiewu solowego (prof. Miller) opłata kwartalna rs. 15, 2) nauka gry na instrumentach dętych (pr. Herbeck, Sobolewski, Malinowski); nauka gry na kontrabasie (pr. Meyer). Opłata za te przedmioty rs. 1; 4) Nauka dykcyi i deklamacyi w zastosowaniu do estrady i sceny (pp. Gawalewicz, Grubiński i Rapacki); opłata półroczna 30 rs. 5) Bezpłatny wykład nauki śpiewu zbiorowego i zasad muzyki (pr. Noskowski). 6) Nauka śpiewu zbiorowego dla dzieci płci obojga (pr. Noskowski; opłata miesięczna od dzieci członków Tow. muzycznego po kop. 25, od niecziłonków po kop. 50.

— Według depeszy *Kuryera warsz.*, pozwolono otworzyć w Warszawie wyższą szkołę ogrodniczą.

— Z powodu zaburzeń zamknięto uniwersytety: w Turynie, Neapolu i Pawii.

Odczyty. W r. b. podczas postu wielkiego odbędzie się w sali ratuszowej szereg odczytów na rzecz osad rolnych. Udział wezmą pp.: Piotr Chmielowski, dr. med. Anna Tomaszewicz-Dobrska, mag. n. przyr. St. Kramsztyk, dr. med. Wł. Ołtuszewski, współredaktor *Ogrodn. polsk.* Józ. Kaczyński, tudzież adwokaci przysięgli: Kar. Dunin, Hen. Konic, Al. Kraushar, Edm. Plebiński i Ant. Pilecki.

Zdrowie publiczne. W Warszawie przy ul. Krochmalnej i Grzybowskiej wykryto fałszerzy herbaty, żydów. Oprócz używanej już i wysuszonej herbaty znaleziono do jej zaprawy szkodliwe środki.

— Jakuba Lachę w Warszawie za fałszowanie mleka sąd skazał na miesiąc aresztu policyjnego lub 50 rs. grzywien.

— *Medycyna* donosi, wiż osadzie Raków gub. radomskiej potrzebny jest lekarz. Wiadomość: właściciel apteki Fiszer przez Łagów w Rakowie.

Wystawy i zjazdy. W Lipsku 3 kwietnia otwarta będzie wystawa papiernicza.

— W Paryżu 4 marca otwarta będzie wystawa hygieniczna. Osobny oddział przeznaczono dla Rosyi.

— Między 29 marca a 5 kwietnia r. b. odbędzie się międzynarodowy kongres lekarski w Rzymie. Dla uczestników przejazd na ruskich kolejach o połowę tańszy.

Komunikacye. Wkrótce rozpocznie czynności delegacya techniczna (ze strony ministeryum komunikacyi), dla zbadania, co stoi na przeszkodzie prawidłowemu rozwojowi żeglugi na Bugu od Serocka do Brześcia litewskiego i na Narwi od ujścia do Wisły — do systemu kanałów augustowskich. (*Kuryer warsz.*).

— Przebicie tunelu w Woronience na granicy galicyjsko-węgierskiej odbyło się 22 z. m. z wielką uro-

czystością. Długość tunelu wynosi 1200 m., z czego połowa przypada na Galicyę.

Zmarli. August Kościesza Żaba w Smyrnie, b. konsul ruski w Erzerumie. Ur. r. 1800 w Krasławiu, skończył Instytut języków wschodnich w Petersburgu 1824 r., poczem otrzymał posadę przy konsulacie w Smyrnie i odtąd stale mieszkał na Wschodzie, gdzie się oddawał studyom naukowym w zakresie literatury i językoznawstwa. Pierwszy dał poznać literaturę i język kurdyjski za pomocą słownika kurdyjsko-francuskiego i dzieła p. t. *Receuil de notices et recies kurdes* (Petersburg 1860).

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Января 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.